7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Najpopularniejszy piosenkarz Maurice Chevalier „lansuje" aparaty Marconi (fot. Paramount).

Rekord wynalazczości

Na wielkich ludzi spoglądamy zawsze z przesadną powagą i jakby nabożną bojaźnią. Zmuszamy ich skutkiem tego do „bronzowniczej" sztywności, częstokroć obcej ich naturze.

Edison od dziecka był figlarzem i psotnikiem, i jeśli krytycznie spojrzeć na jego dzieła, ten humor, beztroska i radość życia cechują jego czyny, małe i wielkie odkrycia, aż do ostatnich czasów.

Edison urodził się 11 lutego r. 1847 jako syn handlarza zboża i matki nauczycielki. Dzieciństwo jego płynęło w beztrosce i niczem nieskrępowanej swobodzie. Do szkoły chodził aż 3 miesiące! Matka, znająca ówczesny poziom nauczania, wolała kształcić go w domu — i może dzięki temu Edison tak usilnie rwał się do nauki, czytając nad wiek trudne rozprawy, a nawet dzieła, jak np. „Zasady" Newtona w 12 roku życia.



Dom, w którym Edison spędził lata dziecinne.

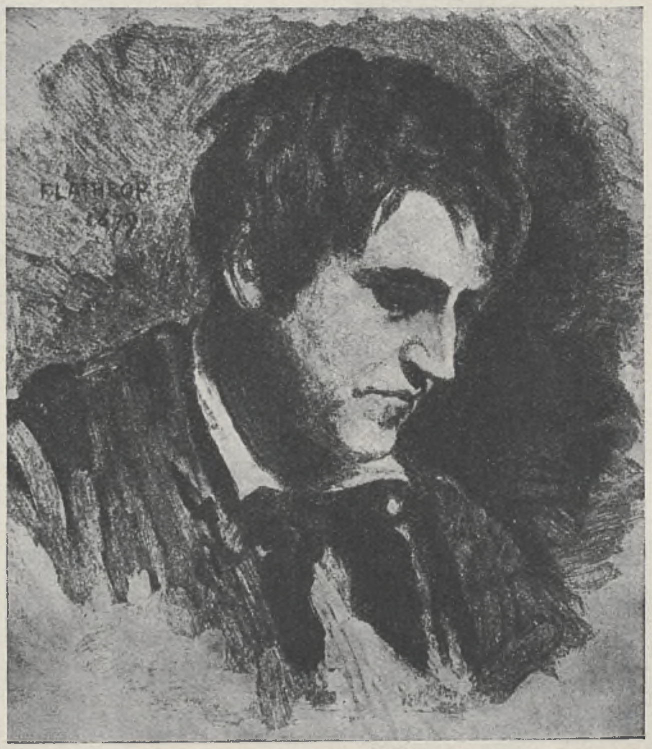
Mały amerykanin zajmował się w tych czasach doświadczeniami z fizyki i chemji — a ponieważ zabawa ta kosztowała więcej, niż na to mogły starczyć drobne datki rodziców, wziął się do handlu.

Terenem jego działalności były dwa miasta: Port Huron i Detroit, odległe od siebie o 200 km. Do Detroit przywoził jarzyny i owoce, z powrotem do Port Huron gazety. Z swego zarobku oddawał część matce, a zarobek to musiał być nielada, jeśli w jednym roku dał 600 dol. Musiał więc mieć pod dostatkiem pieniędzy na swe laboratorjum, które mieściło się w piwnicy i było utrapieniem rodziców, tak jak i jego doświadczenia. Pewnego razu nakarmił swego rówieśnika, imieniem Oates, proszkami Seidlitza, gdyż wyobrażał sobie, że chłopak pod wpływem gazu uniesie się jak balon w powietrze. Ten problem lotniczy nie udał się Edisonowi. Oates dostał boleści, a młody wynalazca w skórę.

Z czasem stosunki przyjazne, jakie wyrobił sobie wśród personelu kolejowego, pozwoliły mu na umieszczenie laboratorjum w wagonie pakunkowym, dzięki czemu czas tracony na podróż mógł wykorzystać do dalszych własnych studjów. O dużym jego sprycie kupieckim świadczy następujący fakt. Po wielkiej bitwie pod Shiloh w r. 1862, dzienniki w Detroit przyniosły sensacyjne wiadomości i opisy walk, w których zginęło 60.000 ludzi. Edison momentalnie zorjentował się, że może to być dobra okazja do większego zarobku i nadał depeszę wzdłuż linji kolejowej do Port Huron z prośbą o zamieszczenie tej wiadomości na czarnych tablicach kolejowych komunikatów.

Następnie zakupił zamiast 100, jak zwykle, aż całe 1000 egzemplarzy dzienników, i wracając na każdej stacji sprzedawał zaniepokojonej publiczności, podnosząc w miarę ubywania egzemplarzy cenę. Zarobek tego dnia był wprost fortuną dla młodego chłopaka. Po tem powodzeniu postanowił sam zacząć wydawać gazetę. Kupił jakąś starą drukarenkę, która służyła do drukowania „menu" hotelowego, naprawił ją, i umieściwszy w wagonie, stał się pewnego dnia redaktorem, autorem artykułów, zecerem, drukarzem i kolporterem swego „Weoekl Herald". Tygodnik ten osiągnął nakład 400 egzemplarzy, a sprzedawany był w cenie 3 centów.

W życiu jego, naprzemian zły i dobry los, odgrywał wielką rolę. Pewnego dnia w wagonowem laboratorjum przez nieostrożność wywołał pożar. Przerażony konduktor, na najbliższej stacji wyrzucił Edisona z całym jego bagażem, drukarnią, laboratorjum i pobił go tak silnie, że od tej pory chłopak zaczął na jedno ucho głuchnąć. Edison musiał ograniczyć się teraz do doświadczeń w domu, i wtedy to założył pierwszy telegraf od siebie do domu kolegi, z zapałem ucząc się po nocach depeszowania. W parę miesięcy później, na tej samej stacyjce, gdzie go wyrzucono, udaje mu się uratować od niechybnej śmierci synka naczelnika stacji, niejakiego Mackenzie. W nagrodę za to wstępuje na praktykanta telegrafistę na tejże stacji. Odtąd zaczyna się jego przyszła karjera telegrafisty i wynalazcy. Długie lata nieustannych wysiłków zostały wnet uwieńczone powodzeniem, a dokonane udoskonalenie w szybkości nadawania i odbierania depesz czyni go sławnym w Ameryce. Lecz zawsze jest niepoprawnym samoukiem, wykorzystującym czas przeważnie dla własnych potrzeb. Telegrafiści kolejowi w czasie nocnej służby obowiązani byli dawać sygnały co pewien czas, o ile nie było depesz, na dowód, że nie śpią. Ze stacji, w której Edison dyżurował, sygnały te przychodziły z nadzwyczajną regularnością, lecz gdy w parę minut później wzywano go dla przyjęcia depeszy, nie odzywał się nikt. Przeprowadzono rewizję. I oto okazało się, że Edison śpi w najlepsze, a zegar, do którego dołączył odpowiednie kółko kontaktowe, sam te sygnały wysyłał. Edison otrzymał naganę, sprytny jednak pomysł znalazł zastosowanie do innych celów.



Tomasz Edison w wieku lat 32.

Po różnych wędrówkach znalazł się nareszcie Edison w New Yorku, w poszukiwaniu posady, w pewnem biurze telegraficznem, które obsługiwało giełdę i banki. Posady wolnej nie było, lecz na jego szczęście zepsuł się aparat, nadający automatycznie depesze giełdowe, tej samej treści, do wszystkich banków. Automat był skomplikowany, pomysłu Dr. Laws i jako rzecz nowa, często zawodził. Wtedy ze wszystkich banków pędziły nieokiełznane, wrzaskliwe bandy chłopaków, robiąc piekło w biurze, by dać im jak najprędzej ceduły giełdowe. Naczelny dyrektor biura wpadał wtedy w szał. Bezrobotny Edison w mig pojął sytuację, a ponieważ już przyjrzał się aparatowi, zaproponował jego naprawę. „Zrób to jaknajprędzej" zawołał dyrektor, a kiedy Edison po paru minutach ponownie go uruchomił z miejsca otrzymał posadę. To go wyróżniło i Dr. Laws zaproponował mu współpracę. W tym czasie a było to 24 września 1869 r., zapanowała straszna bessa giełdowa, w ciągu jednego dnia złoto spadło ze 162 na 135 i aparaty telegraficzne nieustannie musiały się psuć i być naprawiane od przeciążonej pracy. Edison, który już pocichu pracował nad ulepszeniami zaproponował automat własnej konstrukcji. Pewnego dnia po wypróbowaniu aparatu zapytał Edisona prezes centrali telegraficznej ile chce za swój wynalazek. „Ile pan da?" — zapytał Edison, bojąc się wymówić cyfrę 3 tys. $. „Czterdzieści tysięcy $ wystarczy?" — przerwał mu prezes... — a Edison omal nie zemdlał.

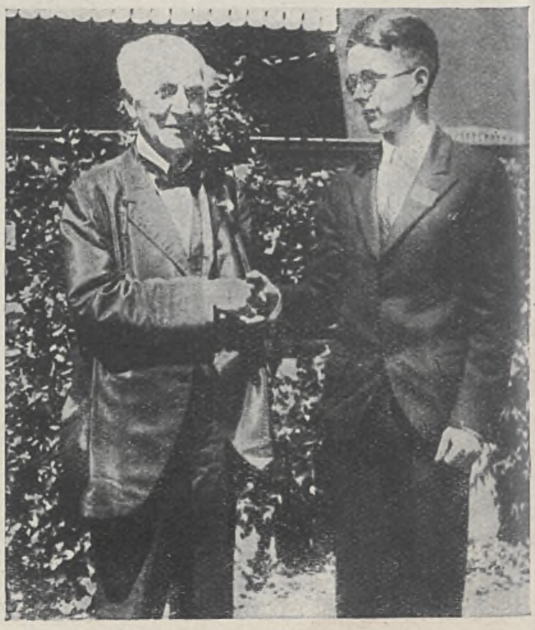
Ten fakt postawił go na nogi. Założył warsztaty i miał dość pieniędzy na dalsze eksperymenty. W dziedzinie telegrafji, wszystkie jego wynalazki dążyły do zwiększenia ilości słów nadawanych na jednym przewodzie, w najkrótszym czasie. Uzyskał mnóstwo patentów i sporo pieniędzy wchodząc w rozmaite spółki jako akcjonarjusz i wynalazca. Wreszcie po latach zaniechał pracę na tem polu, osiągnął wszystko, co można jeszcze było w tej dziedzinie dokonać. Zajął się wtedy ulepszeniem telefonu, wynalazł mimeograf, znany dziś w postaci rozmaitych powielaczy płaskich i rotacyjnych i przerzucił się nagle do rozwiązania problemu zapisywania dźwięków.

W r. 1877 jesienią dał swemu majstrowi szkic jakiejś śmiesznej maszynki, wałek, korba, długa śruba, z którego niczego nie mogli się laboranci domyśleć. Kiedy przyrząd był gotowy, Edison umocował na śrubie przygotowaną membranę, nawinął na wałek staniolu i zawołał „Mary miała małą kózkę" — były to słowa popularnej piosenki. Igła membrany wyryła w staniolu linijkę. Gdy przestawił membranę na początkowe miejsce i pokręcił korbą w pokoju cicho wyszeptał przyrząd te same słowa. Zdumienie obecnych nie miało granic. Wtedy Edison kazał przerobić cały przyrząd, uzupełnił go i nastepnie dnia zjawił się w redakcji „Scientific American".

(Dalszy ciąg na str. 22-ej.)

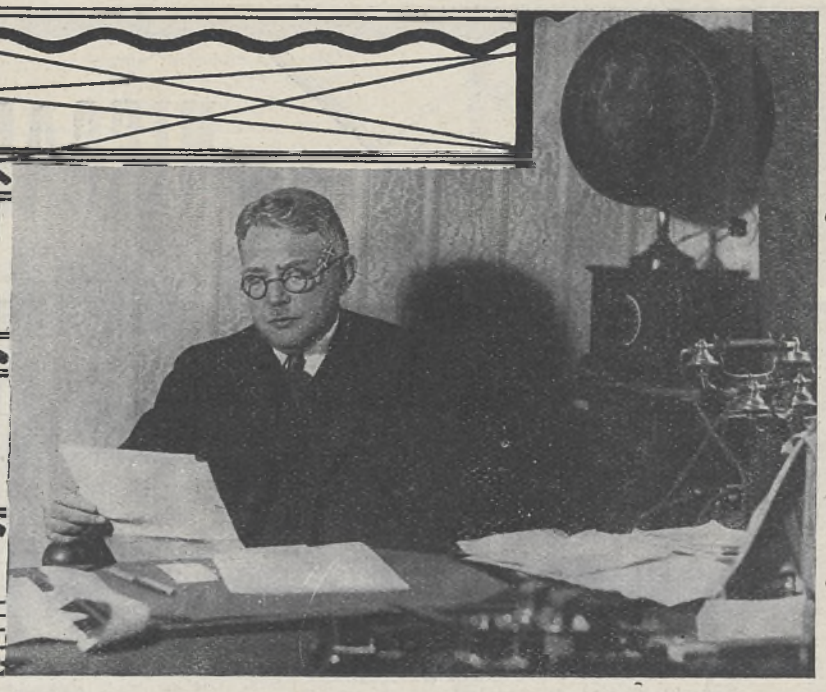


Jubileuszowe doświadczenie z żarówką.



Tomasz Edison i jego „następca".

W ETERZE CIASNO...



Naczelny dyrektor Polskiego Radja, p. Zygmunt Chamiec.

W eterze ciasno... Dziwne napozór zdanie, z którem spotykałem się niejednokrotnie — gdzie? oczywiście, że nigdzieindziej, jak w zdobywczem Polskiem Radjo — i na które, wyznam otwarcie nie zwróciłem na razie uwagi.

W eterze ciasno... Brzmi to — jak paradoks. W eterze? W bezkresie?

A jednak tak jest i aby się o tem przekonać w sposób namacalny (znów brzmi, jak paradoks) wystarczy stanąć przed aparatem radjowym i, na chybił trafił, pokręcić, szukając odbioru. Im większym jest się laikiem, tem silniej da się odczuć ten eksperyment. Bo oto usłyszymy istny sabbat — głosów, melodyj, świstów i wrzasków, zgiełk, jakby tysiąca namiętnie kłócących się duchów — eterycznych, bo z eteru spływających, ze wszystkich stron świata, wszystkich, jeden przez drugiego... Kręcimy wolniej, aż wreszcie wpadamy na t. zw. falę — i rozgwar ucicha, ustępując miejsca sharmonizowanym już teraz dźwiękom — melodji, czy też przemówienia. Trafiliśmy na falę — co innemi słowy oznacza, iż wpłynęliśmy na pewne koryto w eterze, w którem dźwięki płyną jednostajnie z jednej stacji nadawczej.

I właśnie dlatego, że, naogół wziąwszy, wszyscy niemal jesteśmy laikami w sprawach wiedzy technicznej, przedtem nim udamy się do głównego dysponenta naszej fali, nacz. dyrektora Polskiego Radja, p. Zygm. Chamca, który wiele ma do powiedzenia w sprawie uregulowania stosunków międzynarodowych w eterze — nie od rzeczy będzie poprzedzić rozmowę z nim, krótkim chociażby zarysem technicznym, wyjaśniającym istotę zjawiska ujarzmienia eteru.

Stwierdzimy więc przedewszystkiem, że dźwięk jest wynikiem drgania fal eteru, przez odbicie się ich na membranie słuchu. Każdy dźwięk, zależnie od jego napięcia, we właściwy sposób wywołuje drganie eteru, stwarza własną falę.

Wiemy skądinąd, że należyty odbiór (wrażenie odbicia się na membranie słuchowej) osiągamy przy 9.000 drganiach. Ponieważ zaś określono, iż dla użytku radjofonji długość fal nie powinna przekraczać 600 metrów i każda z nich winna być odgrodzona jedna od drugiej, otrzymamy szereg kanałów o szerokości do 9.000 drgań. Stwierdzono w ten sposób, iż mamy w Europie do rozporządzenia 106 fal, oraz 7 — pierwszorzędnej nośności, a więc powyżej 1000 metrów. Oznaczywszy z tych 106 fal 10, jako wspólne — posiadamy do ogólnego podziału 96 fal. I nie więcej — gdyż inaczej, jak to zaznaczyliśmy wyżej, fala zachodziłaby na falę — wywołując zjawisko t. zw. interferencji — uniemożliwiając audycję.

Oto dlaczego w eterze jest ciasno i mimo że eter, jako taki jest nieograniczony, to w samej rzeczy, jeśli chodzi o nośność dźwiękową, występują ściśle określone granice, w których musimy się obracać.

W eterze jest ciasno — musimy więc dokonać pewnego przydziału fal, wychodząc z założenia stosunku zaludnienia każdego z poszczególnych krajów do ilości stacyj, oraz ich zasięgu, co wiąże się z kolei ze sprawą obszaru każdego z krajów *).

Sprawa ta, jak widzimy, nie dała inaczej się załatwić, jak tylko drogą wzajemnego porozumienia. Stąd wynika konieczność zwoływania międzynarodowych konferencyj, tworzenia związków międzynarodowych, ba, nawet i przymierzy — cała polityka radjowa z jej wydziałami wewnętrznym i zagranicznym, działającemi w ścisłem porozumieniu z odpowiedniemi resortami państwowemi poszczególnych państw.

Dzięki usilnym zabiegom p. dyr. Z. Chamca, który cieszy się zagranicą powszechnem uznaniem i zaufaniem, nietylko, że osiągnęliśmy dla nas znaczne sukcesy, ale mogliśmy się pochwalić niejedną inicjatywą, jak np. w dziedzinie międzynarodowej wymiany programów.

I o tych sprawach właśnie pozwoliliśmy sobie uprosić p. dyr. Chamca o osobistą rozmowę, którą dzielimy się z Czytelnikami.

— — — — — — — — — — — —

— Więc i panu już nie obcy jest termin o ciasnocie w eterze! — stwierdza p. dyr. Chamiec, gdy, pragnąc zaoszczędzić mu drogiego czasu, chwalę się wiadomościami z tej dziedziny. — Rad jestem, iż docenia pan doniosłość szeregu narad, które odbyliśmy celem uzgodnienia postulatów każdego z narodów. I bodaj, że sprawniej dochodziliśmy do porozumienia od niejednego kongresu... Za jeden z największych sukcesów — a zwłaszcza wobec doniosłości tej sprawy dla celów propagandy — uważam zapoczątkowaną przez nas wymianę międzynarodową programów **). Do czwórporozumienia, któreśmy początkowo zawarli z Austrją, Niemcami i Czechosłowacją przyłączyły się Węgry i Jugosławja i za naszym przykładem poszły ostatnio Anglja, Francja, Belgja i Niemcy, tworząc nowe circuit, z którem i my nawiązaliśmy kontakt. Ponadto Holandja, dzięki doskonałym swym stacjom krótkofalowym, opracowuje plan nadawania audycyj do krajów zachodnich, co uważam wobec licznych skupisk polskiej emigracji za Oceanem za niezmiernie doniosłe dla naszej propagandy.

Poza znaczeniem propagandowem, które przypisuję międzynarodowej wymianie programów, uważam, że sprawa ta wpływa niezmiernie ożywczo na programy poszczególnych broadcastingów, zachęcając z jednej strony naszych reżyserów do realizowania coraz nowych pomysłów, z drugiej strony zaś interesując coraz szersze sfery radjem.

To jeszcze nie wszystko, gdyż oto niedawno, z okazji konferencji morskiej w Londynie, zainicjowaliśmy niezmiernie ciekawe transmisje aktualne i pragniemy nadal, po tym udanym eksperymencie, w którym wzięło udział 20 stacyj, nadawać najważniejsze wypadki światowe. Nie wątpię, że i to przyczyni się do znacznego obudzenia zainteresowania w kierunku radjofonji.

— Cóż jednak będzie, wobec ciasnoty w eterze, gdy stały wzrost abonentów wywoła konieczność rozszerzenia sieci stacyj? — zapytuję.

— Jedyna rada — to pewne skrócenie sieci drogą zbudowania kilku wielkich stacyj, łącząc jednocześnie mniejsze stacje na jedną falę.

— Właśnie chciałem pana dyrektora zapytać o naszą wielką stację... — przerywam w tem miejscu.

— Choć sprawa nowej stacji, oczywista, jest w obecnej chwili dla mnie najważniejszą — oświadcza p. Chamiec — gdyż otwiera doprawdy nową, świetną erę dla naszej radjofonji, wolę jeszcze odłożyć rozmowę o tem na później. A tymczasem...

Tu, nie od dzisiaj znając p. Chamca i odgadując, że pragnie... spojrzeć na zegarek, dziękuję mu serdecznie i żegnam.

Er.

---

*) Ustalono na konferencji międzynarodowej w Pradze nast. przydział fal dla Polski: 2 fale poniżej 300 m., 4 fale od 300 do 500 m. i 1 falę powyżej 1000 m. W ten sposób więc Warszawa pracuje na fali 1411, Katowice mają 408, Poznań 335 i t. d. Stwierdzimy przy sposobności, że jeśli w Niemczech naprzykład, działa 18 fal przy stosunku 60 abonentów na 10.000 ludności, to w Polsce proporcja ta wyraża się jako 7 $\times$ 10.000. Tem się tłomaczy, iż musiano wprowadzić do określenia klucza obliczeniowego element obszaru każdego z krajów, przyrównując go do powierzchni całej Europy. Cyfry te dla Polski przedstawiają się następująco: ludności 7,91, dla powierzchni zaś 7.26% tak, że średnia tych współczynników wynosi 7,5%. Moglibyśmy zatem liczyć na 7.5% fal — otrzymaliśmy zaś ich 8 (większa liczona za 2).

**) P. dyr. Chamiec, który położył niespożyte zasługi w kierunku zainicjowania i utrwalenia tego porozumienia, jest prezesem międzynarodowej Komisji dla wymiany programów przy Międzynarodowym Związku Radjofonicznym.

NIESAMOWITY BIEG POSTĘPU



Przyznać muszę, że nie bez pewnej obawy udałem się do „wielkiego maga" technicznego naszego broadcastingu — inżyniera Hellera, aby zasięgnąć u niego wiadomości o niesamowitym biegu techniki radjowej. Nic w tem dziwnego, gdyż przedewszystkiem, obracając się niejednokrotnie w sferach Polskiego Radja, znałem opinję pana Hellera, iż każdy technik musi odnosić się z pewną rezerwą do literatury, nawet do tej, która entuzjazmuje się cudami postępu, jako, że „bujanie" przedwczesne nad ziemią, z punktu widzenia naukowego, nie jest wskazane. Proces stałej ewolucji zdaniem p. Hellera bynajmniej nie jest równoległy z postępem kultury całej ludzkości.

To też odrazu na wstępie wolałem zwierzyć się p. Hellerowi ze swoich obaw, zwłaszcza, że, nadomiar złego, jak większość ludzi w naszym kraju, jestem ignorantem w dziedzinie techniki.

— Brawo! — uspokoił mnie mój rozmówca. — Cieszy mnie, iż zdaje sobie pan sprawę, jak trudne jest nasze zadanie wobec stanowiska szerokich mas, które nie orjentują się w zagadnieniach technicznych, gdyż, jak słusznie to pan zauważył, nie są przygotowane do myślenia podobnemi kategorjami. Nie mówiąc tu nawet o tak specjalnej gałęzi, jaką jest radjofonja, ludzie, naogół wziąwszy, nie potrafią interesować się zdobyczami technicznemi, któreby mogły ułatwić im rozwiązanie drobnych zadań życiowych. Wobec podobnej mentalności, jakże dziwne się zdają z nabożeństwem powtarzane modne hasła o naukowej organizacji, gdzie wszystko nieomal ma ścisły związek z techniką.

Pocieszmy się jednak — młode pokolenie coraz żywiej interesuje się temi zagadnieniami i, rychło patrzeć, a ujemna moja opinja w tym względzie stanie się może przeżytkiem. Przechodząc następnie do drugiego skrupułu pańskiego, uspokoję pana, gdyż mówić będę przystępnie i bynajmniej nie podniesiemy się do granic, gdzie rozum się kończy...

Zupełnie uspokojony, biorę ołówek i notuję

— Zaczniemy przedewszystkiem od zagadnienia, które do takiego stopnia interesuje ogół, iż podniosło powszechną dyskusję. Mam tu na myśli mechanizację muzyki. Problemat ten, wobec podobieństwa sprzętu nadawczo-odbiorczego dotyczy nietylko radja, ale i kina. Środki, któremi rozporządzamy, są trojakiego rodzaju: 1) płyta, 2) zapisywanie dźwięku na filmie, 3) zapisywanie dźwięku na taśmie stalowej. Płyta, w danym wypadku, acz wielce udoskonalona technicznie, nie otwiera zbyt szerokich dróg. Nagrywanie z płyt całych oper, koncertów i t. p. jest zapewne postępem, oderwaniem od związania jednoczesnością nadawania i odbioru słuchowiska, inne środki wszelako — film i taśma — dają możność wyrywania scen wprost z życia, dowolnego ich obcinania i montowania, stwarzając słuchowisko pełne realizmu.

Mało jest jednak wiedzieć, że tak jest, że znamy istotę postępu, gdyż dalecy jeszcze jesteśmy od poznania dróg jego realizacji. Powodem tu jest z jednej strony brak narazie dosko-

(Dokończenie na str. 21-ej.)



Dyrektor techniczny Polskiego Radja, p. inż. Heller.

Dr. JERZY SZPAKOWSKI.

Misterjum nocy — sen

Artykuł niniejszy jest feljetonem, wygłoszonym przed kilkoma tygodniami w Polskiem Radjo. Podaliśmy go celem dokonania pewnego doświadczenia — dania możności Czytelnikom porównania wrażeń słuchowych z wrażeniem wzrokowem, a jednocześnie celem zapoznania z konstrukcją podobnego utworu i zachęcenia w kierunku nawiązania kontaktu w tej dziedzinie z naszym broadcastingiem. Radzi będziemy dopomóc naszym Czytelnikom w tym względzie.

Zbliża się noc. Zaczynamy odczuwać zmęczenie. Głowa jest przepełniona przeżyciami całego dnia; wydaje się, że jest w niej brak miejsca. Zjawiska zwykłe, powszednie, przestają nas interesować. Przez pewien czas mogą jeszcze podniecić wrażenia mocne lub bardzo ciekawe, ale tego starcza nie nadługo. Wreszcie już tylko silne emocje potrafią utrzymać nas w pełni świadomości, lecz i na to przychodzi koniec. Wszelkie wrażenia dochodzą jakby z oddali, silniejsze zaczynają nawet sprawiać przykrość. Dążymy do spokoju. Pragniemy snu...

Jakgdyby pod ciężarem przeładowania, głowa opada; powieki przymykają się. Nieliczne wrażenia już z trudem przeciskają się do naszej świadomości. Myśli i przeżycia całego dnia tłoczą się w głowie, jakby nie znajdują ujścia. Mózg przypomina akumulator, naładowany do maximum. Wreszcie wszystko zaczyna się rozpływać. Tracimy grunt pod nogami. Świat zewnętrzny zapada się. Jesteśmy na pograniczu z krainą fantazji.

Czasem przemknie nam przed oczami szereg obrazów, nieraz mocnych, jaskrawych — są to już złudzenia. Zdajemy sobie jeszcze sprawę z tego. I nagle świadomość znika. Jak, i kiedy nie wiemy... Śpimy. Zjawiają się marzenia senne — zaczynamy śnić.

Z niezgłębionych zakątków podświadomości, tego niesłychanie bogatego archiwum ludzkiej psychiki, wyłaniają się wizje. Obrazy dnia minionego, przeżycia dawno zapomniane, wreszcie wrażenia zupełnie nieznane, a więc te, które nie trafiły nigdy do naszej świadomości, wszystko wypływa na powierzchnię, wszystko miesza się razem. Jesteśmy w królestwie Absurdu.

Poczucie czasu i logiki znika. Jestem sobą, ale i kimś innym, a ten inny jest nietylko sobą, ale i inną osobą, a może i kimś trzecim. I to wszystko jednocześnie — każdy z osobna i wszyscy razem. Dwa razy dwa, to nie cztery, nie pięć, a nawet nie 63, to przecież zwyczajny... sznycel po wiedeńsku, podany jak zwykle... w rosole, z kremem i śledziem. Czyż to nie jasne? Siedzę w gondoli; płynę środkiem ulicy Marszałkowskiej; na rogu Senatorskiej muszę zatrzymać się — przecina mi drogę kołysząca się leniwie karawana wielbłądów; dopędza mnie kwadryga; rzymianin z wieńcem laurowym na głowie wrzeszczy głośno: hallo! — na kwadrydze ustawiony jest karabin maszynowy, który wypluwa bez przerwy rozkwitłe róże, mieniące się wszystkiemi kolorami tęczy; wkrótce cała przestrzeń przede mną zostaje pokryta różami, po których mknie nieskończenie długi szereg narciarzy; nagle zapadam się, lecę w przepaść i wreszcie spadam... na dach 87-mio piętrowego drapacza chmur. Jakie to ciekawe, a jakie proste, zrozumiałe! Raptem z tego, czy z podobnego bigosu wyłania się jakaś myśl, czy akcja, logiczna do absurdu w porównaniu ze stekiem bzdurstw, w rodzaju wspomnianych przed chwilą. I nagle ta logiczność urywa się i powstaje znowuż galimatjas, ale tym razem wogóle nie do powtórzenia.

Przyjrzyjmy się jednak bliżej marzeniom sennym. Jakaż niezwykła różnorodność treści, jakie przeciwieństwa myśli, kontrasty uczuć!

Potrafimy zapomnieć, gdzie jesteśmy i jak się nazywamy. Dochodzimy nieraz do zupełnego zdawałoby się zaniku pamięci. Ile mam lat? Nie pamiętam; czy 75, a może i 15; naprawdę nie wiem!

Z drugiej strony możemy zetknąć się z przykładami zadziwiającej pamięci.

Pewnego razu, — opowiada francuski badacz Delboeuf, — śni mu się, że karmi dwie jaszczurki jakąś trawą; on wie zresztą, jak się nazywa ta trawa; przecież to *„Asplenium ruta muralis"*. Naraz zamiast dwóch jaszczurek widzi trzy, cztery, coraz więcej, wreszcie wszystko się wypełnia jaszczurkami, które pełzną w kierunku jakiegoś otworu w ścianie. Po przebudzeniu się jest bardzo zdziwiony treścią snu, a w szczególności zastanawia go nazwa trawy, której nie znał zupełnie. Nie będąc botanikiem, zaczyna dopytywać się, i ku wielkiemu zdumieniu dowiaduje się, że w istocie jest taka trawa, która się nazywa *„Asplenium ruta muraria"*. Nie zważając na wysiłki, nie może jednak dojść do dalszych wniosków. Mija 16 lat. Podczas odwiedzin u jednego ze swych przyjaciół przegląda jakiś stary zielnik. W pewnym momencie wzrok jego pada na coś znajomego; przygląda się i nagle przypomina sobie: przecież to jest ta sama trawa; rzuca wzrokiem na dół arkusza i z przerażeniem widzi napis, zrobiony jego własną ręką: *„Asplenium ruta muraria"*. Cóż się okazuje? Dwa lata przed owym snem, pod dyktando swego przyjaciela, pisał i umieszczał w zielniku nazwy różnych roślin. Zapomniał nietylko o nazwach, ale i o samym fakcie, lecz gdzieś, w podświadomości utkwiła jedna z nazw, ulegając nieznacznej tylko zmianie: *muralis* zamiast *muraria*. Ale nie koniec na tem. Wertując od niechcenia jedno ze starych czasopism, ujrzał rysunek, przypominający do złudzenia wędrówkę jaszczurek, widzianą podczas snu. Po sprawdzeniu okazało się, że czasopismo to prenumerował w owym czasie.

Oto inny badacz opowiada o śnie, który go męczył przez długi szereg lat. Był to piętrowy budynek, posiadający wiele charakterystycznych szczegółów, do którego ów autor podjeżdżał wciąż powozem. Nie pomogły żadne poszukiwania; przez kilka lat sen pozostawał nieodgadnięty. I znowuż, zupełnie przypadkowo, podczas przymusowego postoju pociągu na jednej z małych stacyjek, gdy wspomniany badacz wyszedł na spacer, ujrzał nagle ów budynek ze wszystkiemi najdrobniejszemi szczegółami. Był to dworzec kolejowy, widziany od drugiej strony. Lecz na tej stacji nie był nigdy; był przekonany o tem. Całkowite rozwiązanie nastąpiło później. Jak się okazało, mając cztery lata, wyjechał z rodzicami na wieś. Wracali do domu z początku końmi — przyjechali powozem na tę stacyjkę i tu dopiero wsiedli do pociągu. Wspomnienie z czwartego roku życia przetrwało lata w ukryciu i nagle wybuchnęło, opanowując wprost cały szereg snów.



Marzenia senne mogą również wznieść na wyżyny twórczości.

Znakomity kompozytor włoski 18-go stulecia, Tartini, bardzo długo męczył się nad zakończeniem swej sonaty skrzypcowej, lecz wszystkie wysiłki nie doprowadziły do celu. Pewnej nocy śni mu się djabeł, który proponuje pomoc za cenę sprzedania duszy kompozytora. Tartini zgadza się. Wtedy djabeł chwyta skrzypce i zaczyna grać. Tartini słucha, jak zaczarowany. Natychmiast po zakończeniu budzi się, wstaje i w stanie ekstazy powtarza niezwykle piękną melodję. W ten sposób sonata została ukończona.

Voltaire podczas snu stworzył jedną pieśń Henriady, a La Fontaine bajkę „Dwa gołębie". Francuski filozof, Condillac, podczas snu zakończył wykład, przerwany wieczorem. Poeta niemiecki, Klopstock, sam twierdzi, że snom zawdzięcza wiele swych pomysłów i momentów natchnienia.

Znamy zresztą wiele podobnych przykładów również i w dziedzinie twórczości ściśle naukowej.

W marzeniach sennych możemy się pozbyć wszelkiego poczucia moralności: rabujemy, mordujemy, podpalamy, okradamy, dopuszczamy się różnych czynów nieetycznych. Podczas snu dochodzimy do wysiłków, graniczących z samozaparciem się, do wyczynów najwyższego altruizmu.

Sen bywa spokojny, prawie bez żadnych wzruszeń, ale bywa i burzliwy. Unosimy się w obłokach, lecimy w przepaście, uciekamy, gonimy, kochamy, nienawidzimy, czasem ogarnia nas bezwład ze strachu, lub też z zachwytu. Miewamy koszmary, które tylko z trudem możemy opisać, te straszne stany dławienia, duszenia, podczas których nie jesteśmy zdolni do żadnego ruchu, a krzyk przerażenia zamiera w piersi. Lecz miewamy i stany rozkoszy, przechodzące wprost w ekstazę, kiedy cudowne wizje, upajające melodje, słońce, przyroda wszystko się łączy w jakąś nieziemską symfonję miłości i piękna.

Zdrową psychikę człowieka charakteryzuje przedewszystkiem dobry sen. Jednocześnie sen jest codziennem zamroczeniem świadomości, podczas którego możemy przejść przez stany nieomal wszystkich chorób umysłowych.

Sen odradza człowieka, ale od snu do śmierci pozostaje często tylko jeden krok.

Od nienawiści do miłości, od głupoty do genjalności, od bólu do rozkoszy, od obłędu do jednostajnej codzienności, od zbrodni do apostolstwa — oto jest niesłychana rozpiętość marzeń sennych.

Nic też dziwnego, że od najdawniejszych czasów ludzkość otoczyła sen specjalnym kultem. Zarówno sen, jak i jego starsza siostrzyca, śmierć, zostały przygarnięte przez Wielkie Misterjum Nocy.

Często się mówi o tak zwanych „snach wieszczych, proroczych".

(Dalszy ciąg na str. 22-ej.)

Marconi w Polsce

(W pracowni współczesnego czarodzieja)



Nie będzie w tem przesady, gdy genjalnych twórców cudów techniki współczesnej — radja, telewizji, fotoceli, filmu dźwiękowego i wielu innych — nazwiemy czarodziejami.

Bo zważcie. Oto genjusz Marconiego przerywa wieczyste milczenie eteru, zapełnia go tysiącem głosów ludzkich, każe wibrować tysiącom fal muzycznych, aby jednocześnie ludzie na całym świecie za pomocą cudownych pudełek-aparatów mogli te niesłyszalne głosy łowić w eterze, potęgować, wyzwalać i doprowadzać do swego ucha.

Nie jest-że to dziełem genjuszu cudownego, dobrotliwego, niosącego ludziom radość i nieskończone a wielorakie korzyści.

O tak, zaiste. Nazwisko genjalnego twórcy radja, senatora markiza Gugliemo Marconi — jest dzisiaj symbolem potężnej zdobyczy Ludzkości — Radja.

Nazwisko Marconi znaczy w tej dziedzinie wszystko, co jest wielkie i jedyne w swoim rodzaju, wszystko, co poprzez nieskończone procesy prób i udoskonaleń w pracowniach i laboratorjach Mistrza osiągnęło szczyty dzisiejszej doskonałości.

Zważmy, że światowy przemysł radjowy i radjofoniczny, rozwijający się w błyskawicznem tempie, obsługuje obecnie dziesiątki miljonow ludzi.

W jednej tylko Ameryce Północnej przemysł ten osiąga roczny obrót zgórą 600 milj. dolarów.

W Polsce, gdy sprawa radjofonji stała się aktualna i powstało Polskie Radjo, wyłoniła się potrzeba budowy radjostacyj nadawczych i zorganizowania przemysłu radjowego.

Jest to dla polskiego przemysłu radjowego szczęśliwa okoliczność, że Polska jest jednym z nielicznych krajów, na który Marconi zwrócił szczególną uwagę. Tłomaczy się to zapewne tem, że Polska jest centralnym ośrodkiem kompleksu państw Europy Wschodniej, i bramą na Wschód.

W wyniku tego zainteresowania, powstała w Polsce, pod nazwą Polskie Zakłady Marconi S. A. (Warszawa, Narbutta 29), jedna ze światowych wytwórni Marconiego, związana ze znaną na całym globie centralą w Londynie — Marconi's Wireless Telegraph Co. Ten ścisły stosunek polskiej placówki z centralą, polega nie tylko na korzystaniu ze wszystkich najnowszych patentów i licencyj Marconiego oraz pomocy technicznej, ale opiera się także na kapitale angielskiej macierzy, wynoszącym 2.200.000 złotych.

Polskie Zakłady Marconi, są w Polsce najpoważniejszą wytwórnią radjotechniczną, w dzisiejszej fazie rozwoju zatrudniają ponad 200 wykwalifikowanych robotników i 70 urzędników — pod kierunkiem 10-ciu inżynierów.

Ten zespół, powołany do pracy i inspirowany genjuszem Marconiego, założył podwaliny radjofonji polskiej.

A więc przedewszystkiem zbudował pierwszą warszawską radjostację, długo i krótkofalową, zaczem poszła budowa stacyj w Krakowie, Lwowie i ostatnio w Łodzi.

Ponadto polski Marconi przez szereg lat zaopatrywał armję lądową, marynarkę i lotnictwo polskie — w specjalne typy radjostacyj korespondencyjnych. Obecnie buduje stację wielkiej mocy dla Ministerstwa Poczt i Telegrafów.

Ale skorzystajmy z uprzejmości dyrekcji i zajrzyjmy do wnętrza warszawskiej pracowni Marconiego, władcy eteru, dyktatora fal radjowych, ujarzmiciela dźwięków, wibrujących w przestrzeni.

Długie sale fabryczne... Warkot motorów, tokarek, obrabiarek. transmisyj...

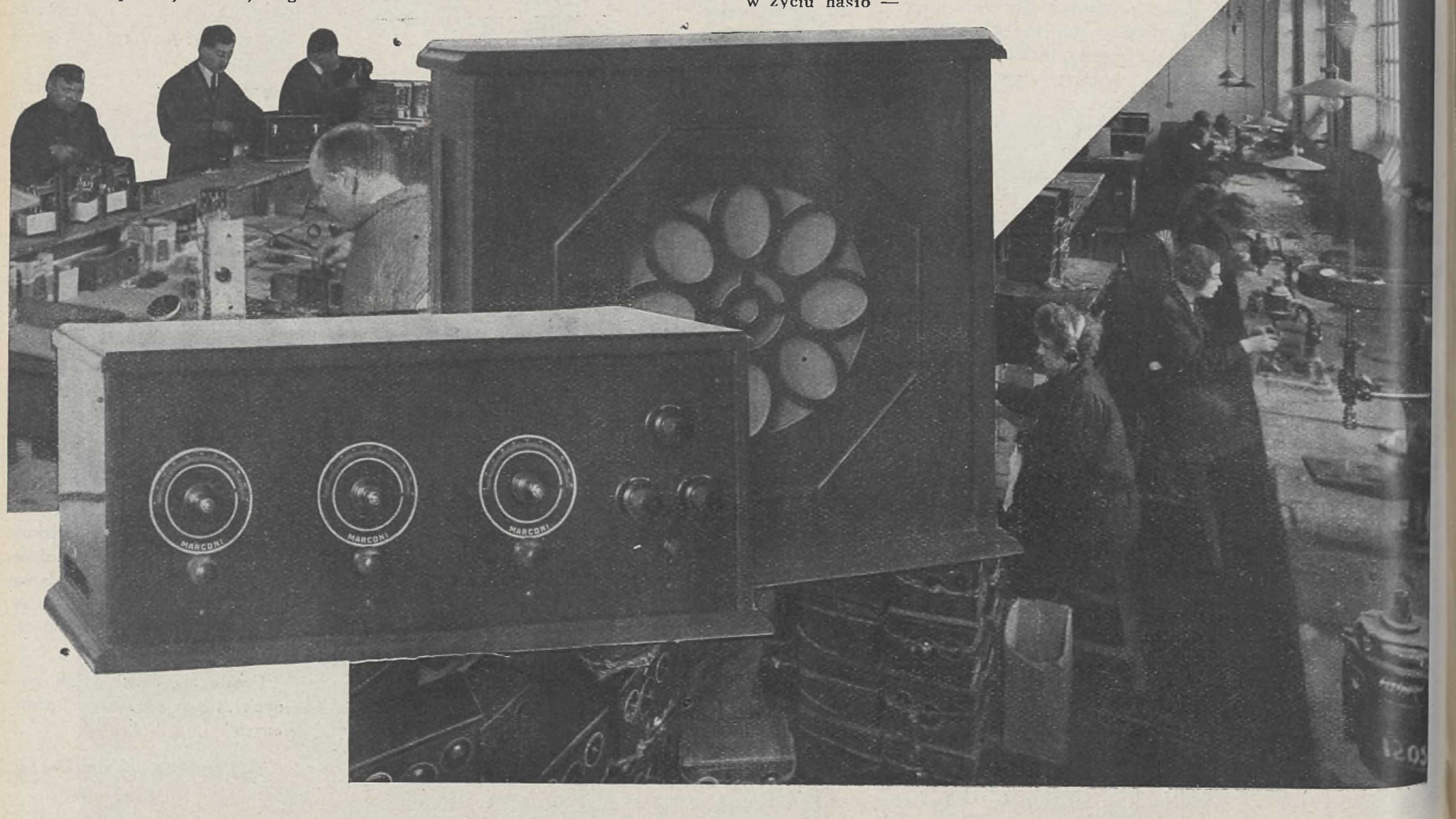
Stolarnie, ślusarnie, lakiernie, montownie, laboratorja, sprawdzalnie...

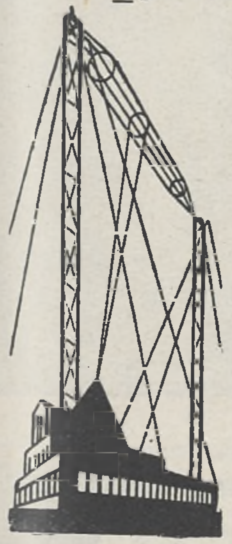
Setki pilnych i zręcznych rąk roboczych wprawnie i szybko z dziesiątków szczegółów i drobiazgów — deseczek, śrubek, drucików, zwojów, wtyczek, kondensatorów, płytek — w większych i mniejszych wytwornych skrzyneczkach i pudłach — montują precyzyjne aparaty — odbiorniki.

Oto detektor — mały, zgrabny, czarny, elegancki łowca fal krajowych — za pomocą kryształów, prosty, łatwy, trwały i tani.

Demokrata w sferze radjowej.

Idzie tysiącami. Wciska się wszędzie. W mieszkaniu urzędnika i studenta, zarówno na poddaszu jak i w salonie, lub domku podmiejskim, umila ludziom życie, sam wzamian nic nie żądając, ani batervj, ani lamp, ani akumulatora. Realizuje w życiu hasło —





Radjo dla wszystkich!

Tam dalej już znacznie wyższa klasa, wybredniejszy gust, większa ciekawość do tajemnic eteru, szeroki zasięg: to popularne trzylampówki Biorą, jak nic, czysto i wyraźnie — wszystkie stacje Europy, nie mówiąc już o stacjach polskich. 3 L. E., coś niby radjowy paszport zagraniczny.

Te już zaspakajają doświadczeńszą i bardziej wymagającą elitę radjoamatorów, która otrzymała początkowy radjochrzest detektorowy. Ta promocja do wyższej klasy radjowej odbywa się w ten sposób, że roznamiętniony do radja detektorowicz zwraca swój osłuchany detektor firmie Marconi w pełnej cenie i wybiera za dopłatą trzylampówkę.

Posuwamy się dalej. Jeszcze wyższa klasa. High life .radjowy, arystokracja, — wykwint i luksus — to *ekradyny!*

Wytworne sprzęty salonowe, na żądanie dostosowane do form, stylu i barwy otoczenia.

Wielolampowe, potężne w działaniu i sile zasięgu, łączone z głośnikiem, ozdoba i chluba salonów i gabinetów, stacjonujące także w instytucjach, klubach, stowarzyszeniach . Zawierają w sobie 32-letnie doświadczenie Marconiego i wszystkie „ostatnie słowa" radjotechniki. Przy zastosowaniu produkowanych u Marconiego prostowników, obchodzą się bez bateryj i akumulatorów, czerpiąc siłę do swoich 5-ciu lub 8-miu lamp z miejskiej sieci elektrycznej.

Wreszcie — chwała i duma Zakładów Marconiego — rodzina głośników.

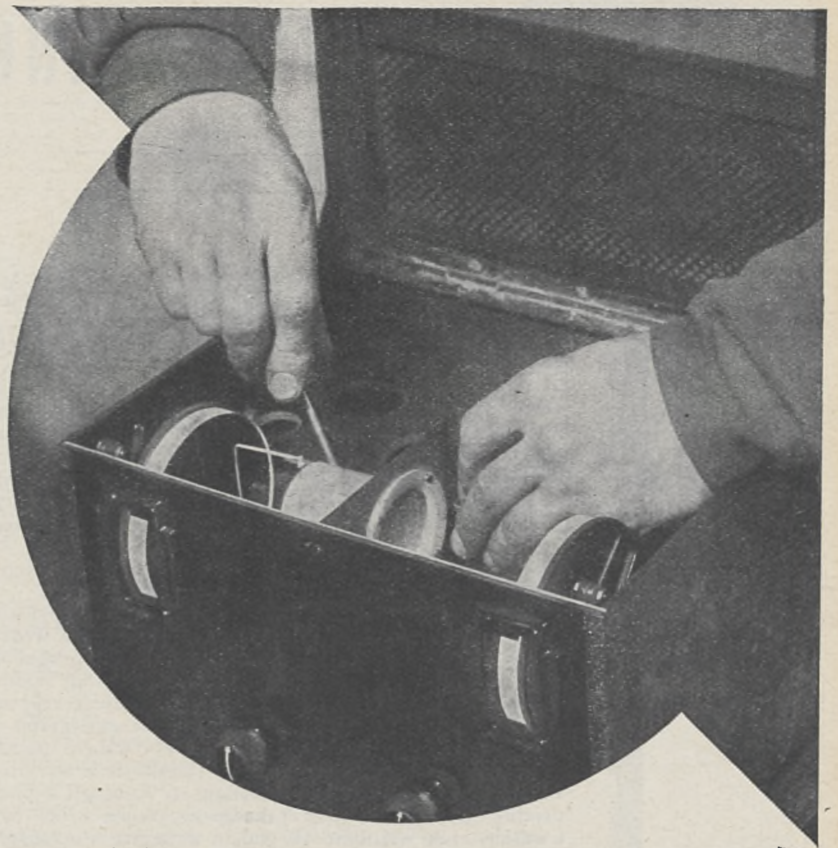
Oto popularny srebrny Radjovotani — dla każdego. A oto wspaniałe i doskonałe Marconivoxy, głośniki elektrodynamiczne, o wielkiej rozpiętości tonu, i zasięgu, dając głos czysty i silny, o naturalnej barwie.

To znów wzmacniacze dźwiękowe adaptery, przetwarzające zwykły gramofon w potężną orkiestrę dla kin, restauracyj, kawiarni, sal tanecznych i lokali publicznych.

Oto — skomplikowane urządzenia rozgłośnikowe, stanowiące podstawę filmu dźwiękowego.

A w końcu — współczesne trąby jerychońskie — gigantofony pojedyńcze i w zespołach megafonowych — do różnych celów: propagandy słownej, przekazywania orkiestr i przemówień na obchodach, uroczystościach, paradach, na dużych przestrzeniach, wśród tysiącznych tłumów.

Znajdują one coraz to większe zastosowanie. Ich czysty, potężny i donośny głos, słyszany w obrębie 1 kilometra, wyręcza stokrotnie słabiutki głos człowieka.



Całokształt produkcji Marconiego byłby zupełnie nie kompletny, gdybyśmy nie zacytowali tutaj dzieła wielkiego, stawiającego te zakłady na poziom dwuch—trzech największych zakładów europejskich (Anglja i Francja). Właśnie w zdumieniu i podziwie stajemy przed specjalnym szklanym pawilonem, gdzie uwijający się liczni monterzy kończą montaż kilkunastu wielkich zespołów, przeznaczonych dla budowanej wielkiej stacji telegrafu bez drutu, zamówionej przez Ministerstwo Poczt i Telegrafu, które w ten sposób dało dowód dużego zaufania do doskonałości i wysokiego poziomu technicznego produkcji Polskiego Marconiego.

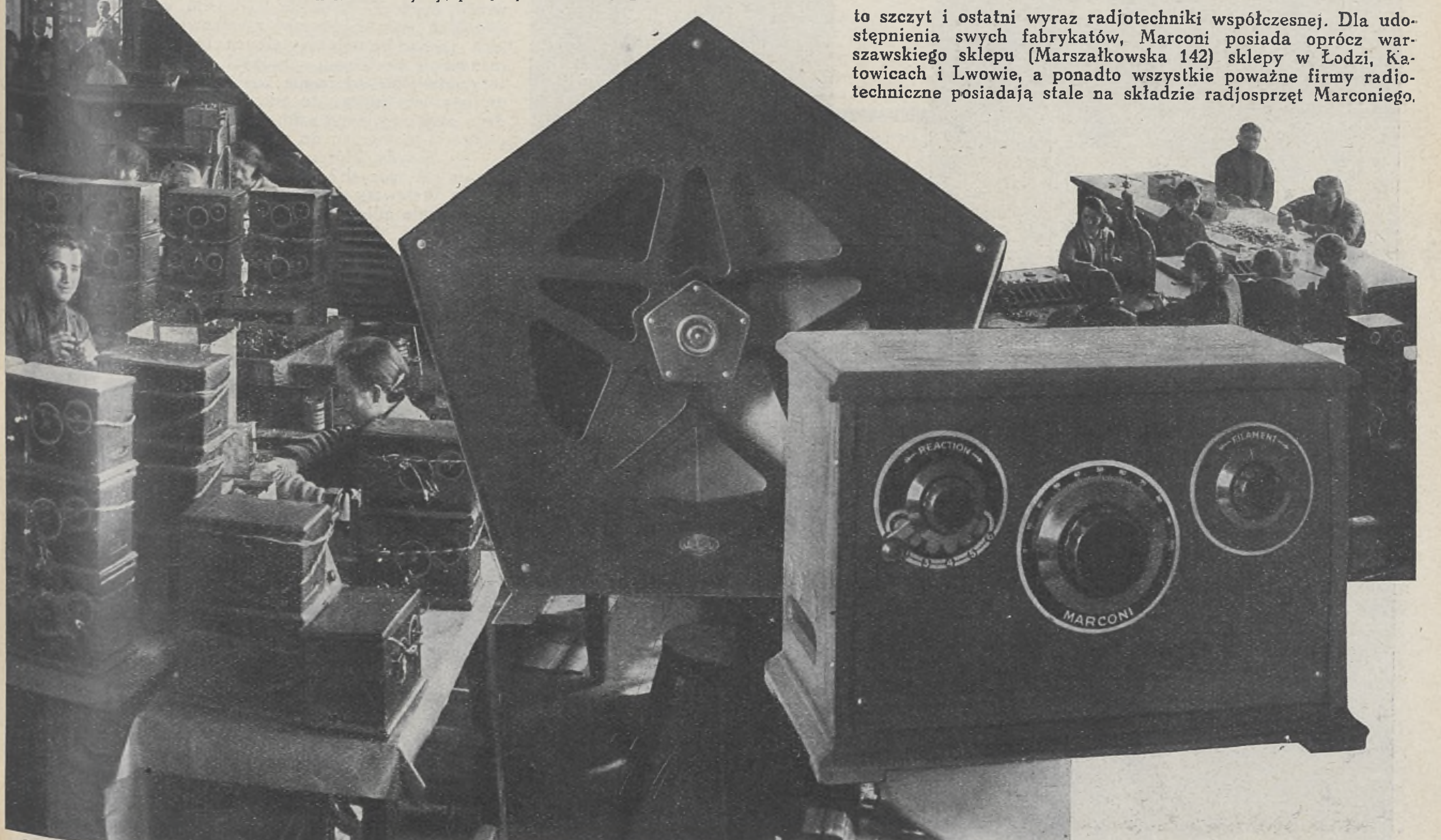
Takie wielkie dzieło inżynierów i monterów Marconiego stawia polską produkcję radjotechniczną na jednej stopie z największemi wytwórniami świata.

Na zakończenie tej rewji Marconiego musimy dodać, że wszystko, co wychodzi z zakładów Marconi i zostaje oddane do użytku, przechodzi przez wiele rąk i jest skrupulatnie i doskonale sprawdzane w laboratorjach fabrycznych.

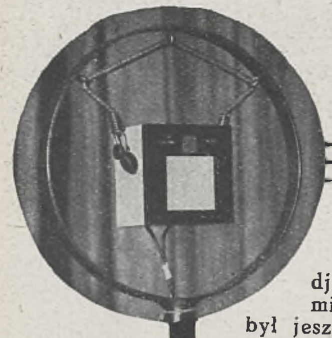
Jest więc zrozumiałe, że produkcja Polskich Zakładów Marconi, mających w swej dewizie naczelnej wielkie, obowiązujące i wszystko znaczące słowo:

MARCONI —

to szczyt i ostatni wyraz radjotechniki współczesnej. Dla udostępnienia swych fabrykatów, Marconi posiada oprócz warszawskiego sklepu (Marszałkowska 142) sklepy w Łodzi, Katowicach i Lwowie, a ponadto wszystkie poważne firmy radjotechniczne posiadają stale na składzie radjosprzęt Marconiego.



WIELKI DZIENNIK ETERU



Siedząc w gabinecie kierownika literackiego „Polskiego Radja", z którym za chwilę mam odbyć wywiad, przypominam sobie mimowoli, jak to przed wielu laty, w czasach, powiedzmy, kiedy eter był jeszcze wolny, błąkaliśmy się w naszych gawędach z p. Weroniczem wśród książek i pism, po masie papierowej, po zecerniach i halach maszyn drukarskich. I oto dziś, z tym samym człowiekiem, bynajmniej nie wznosząc się nad poziomy, będziemy bujać swobodnie w eterze, poruszając te same, co ongiś tematy. Mam bowiem zamiar zanalizować, do jakiego stopnia instytucję broadcastingu porównać można do redakcji wydawnictwa. Bo proszę sobie pomyśleć, czy nie jest tak w istocie?

Oto od czasu do czasu nawet, słuchając audycyj, w wolnych chwilach od zajęć, czy nie odnosi się wrażenia analogicznego z wertowaniem łamów wielkiego pisma.

Artykuł wstępny? Jest. Jest nim przemówienie jakiegoś dygnitarza, czy odczyt uczonego.

Odcinek? Słyszę fragment znanego mi utworu literackiego, który w słuchowisku radjowem daje mi całkiem nowe wrażenia; czasem znów słyszę urywek nieznanej mi rzeczy, którą wnet pragnę przeczytać w całości.

Jest też i feljeton — barwny i żywy, są komunikaty z różnorodnych dziedzin, informacje aktualne, są wreszcie i reklamy, podane w zupełnie swoisty sposób. A wszystko przeplecione audycjami muzycznemi, które, podobnie do ilustracyj w piśmie, stanowią miłą i interesującą rozrywkę.

— Chce mnie pan nazwać redaktorem wielkiego dziennika eteru? — śmieje się p. Weronicz. — Doskonale. Analogji z pismem drukowanem znajdziemy niemało. A więc przedewszystkiem kilka cyfr. Oto nasz program, trwający, jak wiadomo 10 godzin dziennie. Pomnóżmy tę liczbę przez średnią ilość 90 słów na minutę a otrzymamy:

10 godz. × 60 min. = 600
600 godz. × 90 słów = 54.000.

Przyjmując 7 słów w wierszu — otrzymamy 7710 wierszy, czyli niemal 80 szpalt, co nam da wreszcie

15 kolumn.

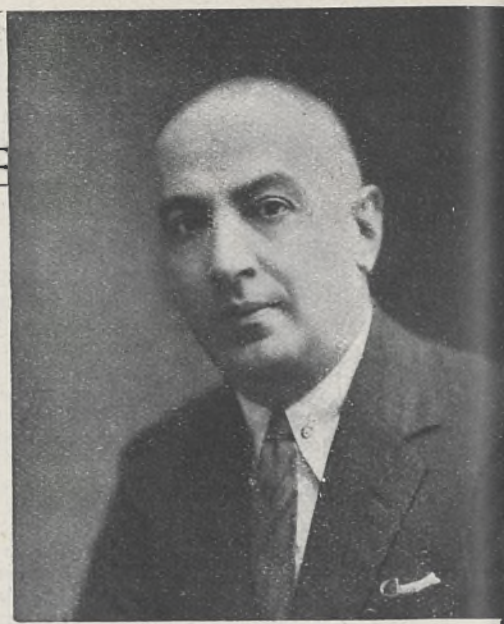
Pismo więc wcale pokaźne! Debit jego jest nieograniczony. Cena minimalna, gdyż wynosi zaledwie 10 groszy dziennie.

Oto widzi pan, na tej tablicy rozkład każdego dnia i godziny stosownie do ustalonego schematu, podobnego do tego, jakim się kierujecie w rozplanowaniu łamów pisma. W samej rzeczy więc analogji jest bardzo wiele. Nie mniej jednak występują również różnice zarówno w samych zasadach, jak i w zupełnie specyficznem ujmowaniu i podawaniu tematów

Zasadniczą różnicą jest charakter najzupełniej apolityczny i bezpartyjny naszych programów. Istotnie bowiem w mroźnym eterze stygną wszelkie namiętności. Granice państwowe, jeżeli chodzi o nasz debit, nie istnieją i chociaż można, jak n. p. na Litwie zabronić drukowania naszych programów, to jednak audycyj zamknąć nie podobna. Oświetlenie zaś partyjne aktualnych wydarzeń, zwłaszcza jeżeli jest to związane z doraźną akcją polityczną, pozostawiamy prasie, gdyż jesteśmy istotnie organem dla wszystkich: wszystkim w równej mierze musimy służyć. Czyż zresztą nie mamy aż nazbyt obszernego zakresu działania. Musimy wszak, będąc POLSKIEM RADJEM, budzić wśród szerokich mas słuchaczów zaciekawienie dla wielkich pokładów intelektualnych polskich, krzewić rozumienie swoistych, odrębnych cech polskiej kultury, oświetlać zdarzenia wielkie i ludzi wielkich; musimy też sięgnąć do zdarzeń, dotyczących każdego poszczególnego człowieka — od czynów jego, planów i zamierzeń do sennych nawet rojeń.

— Metody, któremi się panowie posługują różnią się od naszych?

— Wziąwszy do ręki książkę, czy pismo można je dowolnie odłożyć do późniejszego przeczytania.



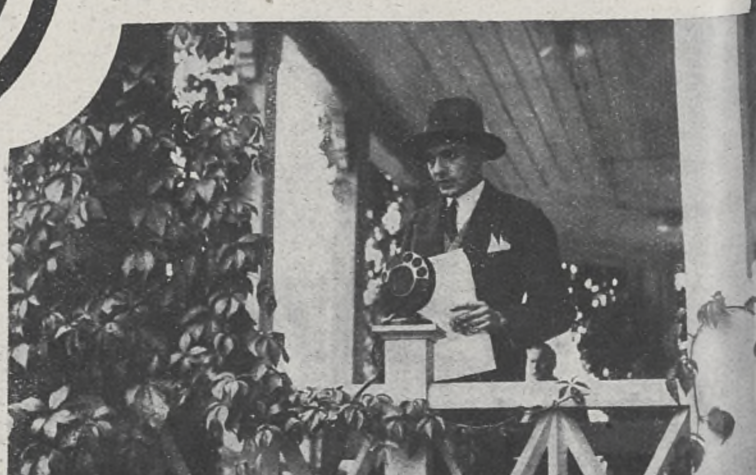
P. Maksymiljan Weronicz, kierownik literacki Polskiego Radja. U dołu — ci, których wielokrotnie słyszeliśmy, pp. Zdzisław Dębicki, Józef Zieliński, mjr. Antoni Bogusławski, Marjan Stępowski i Tadeusz Strzetelski.

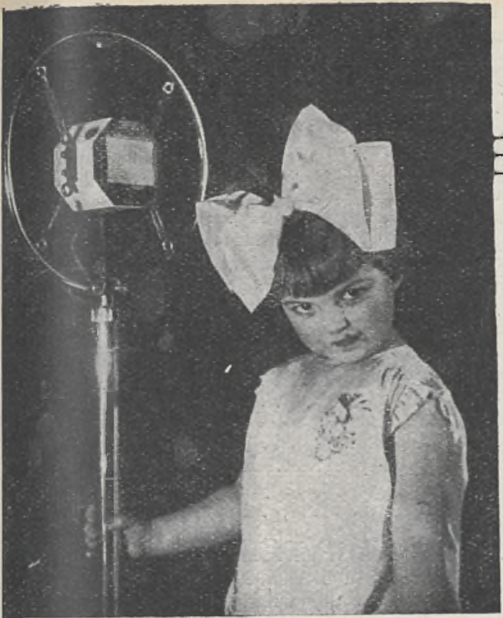














Naprzeciw p. Weronicza — najmłodsza speakareka oraz ulubieniec publiczności, p. Bocheński.

My zaś przez radjo musimy przykuć uwagę słuchacza natychmiast. To też, istotnie, metody nasze są różne od form, używanych w prasie. Kładziemy więc przedewszystkiem nacisk na głos, gdyż najciekawszą i najlepiej opracowaną audycję można popsuć nieprzyjemnym głosem lub złą dykcją. Pozatem i język radjowy nie jest koniecznie językiem literackim. Piękny język potoczny, bez zbytniej kwiecistości stylu, uogólnień i zwrotów pouczających, to sekret radjofoniczności. A wreszcie konstrukcja sama, o ile jest przepleciona faktami, informacjami lub anegdotami, wzmaga zainteresowanie do audycji i do przedmiotu.

— Jest to więc raczej konstrukcja feljetonowa?

— Tak jest. Upodobania publiczności skłaniają się w obecnej chwili na stronę feljetonu. To też, nie zaniedbując odczytów zreformowaliśmy je w ten sposób, że odczyty feljetonizujemy, wagę zaś gatunkową feljetonów zbliżamy do odczytów. Praktyka moja w Polskiem Radjo nastręczyła mi niezmiernie ciekawe spostrzeżenia. Oto bowiem, o ile literatura beletrystyczna w formie książkowej cieszy się dziś niezbyt dużem powodzeniem, o tyle dobrze zradjofonizowane utwory literackie zyskały sobie ogromną popularność.

— Na czem polega radjofoniczność fragmentu literackiego?

— Wychodzimy przedewszystkiem z zasady, iż słuchanie musi być przyjemnością. Radjo nie jest uniwersytetem — nie pragniemy pouczać *ex cathedra*, dążeniem naszem natomiast jest zaciekawić słuchacza. Inną jest rzeczą, oczywista, że układając programy, dbamy o to, by słuchacz odniósł z audycji pożytek. Opracowanie programu jest przeto zadaniem, wymagającem dużego przemyślenia, powiązania poszczególnych fragmentów w ten sposób, aby pewna linja ideowa została konsekwentnie przeprowadzona. Utwory, które podajemy, muszą być jasne i przejrzyste, a odczytanie ich — właściwie zaś zagranie — powierzone najlepszym aktorom. Aktor, czy speaker, a wzorem wśród nich nadługo pozostanie p. Bocheński — musi pamiętać, że pragnąc zasugerować słuchacza, winien do niego przemawiać, jakgdyby znajdował się bezpośrednio z nim w kontakcie. Z przeświadczeniem o wszystkich walorach, jakie mu daje ogromna dynamika głosu ludzkiego, natomiast bez patosu, gdyż daje to efekt wprost odwrotny. Musi być *causeur'em*, mówić krótko, lecz z pasją, z głębokiem przekonaniem.

— Stacja warszawska wszak słynie ze swoich słuchowisk?

— Tak jest. Wiele poświęciliśmy temu pracy, wiele żmudnych eksperymentów, które jednak naogół nie przyniosły nam zawodu. Nasz teatr radjofoniczny, teatr z niewidoczną sceną, nadał w bieżącym sezonie kilka pierwszorzędnych słuchowisk — jak „Pretendenci do tronu" Ibsena, „Alt Heidelberg", „Miłość malarzem" Moliera, „Trystan i Izolda", „Akropolis" St. Wyspiańskiego. Młodziutki reżyser Teatru Narodowego, Wacław Radulski, zwrócił na siebie powszechną uwagę swojemi inscenizacjami radjowemi. Dokonaliśmy ponadto innego eksperymentu: na bezpośrednie życie miasta, chwycone przez mikrofony, które stały na jednej z ulic Warszawy, nałożyliśmy radjofonizowane fragmenty poetyckie, odzwierciadlające życie ulicy. Było to słuchowisko p. t. „Symfonja miasta".

— Wiem, że sfery artystyczne odnoszą się do panów poczynań z wielkiem uznaniem, czego dowodem pochwała, wyrażona na zjeździe ogólnopolskim literatów w Poznaniu. Jakże jednak reaguje na to publiczność?

— Publiczność, o ile nam wiadomo, odnosi się do nas również bardzo przychylnie. Jest to bardzo miłą dla nas nagrodą za nieustanną pracę nad udoskonaleniem naszych metod i wynajdywaniem coraz to nowych atrakcyj.

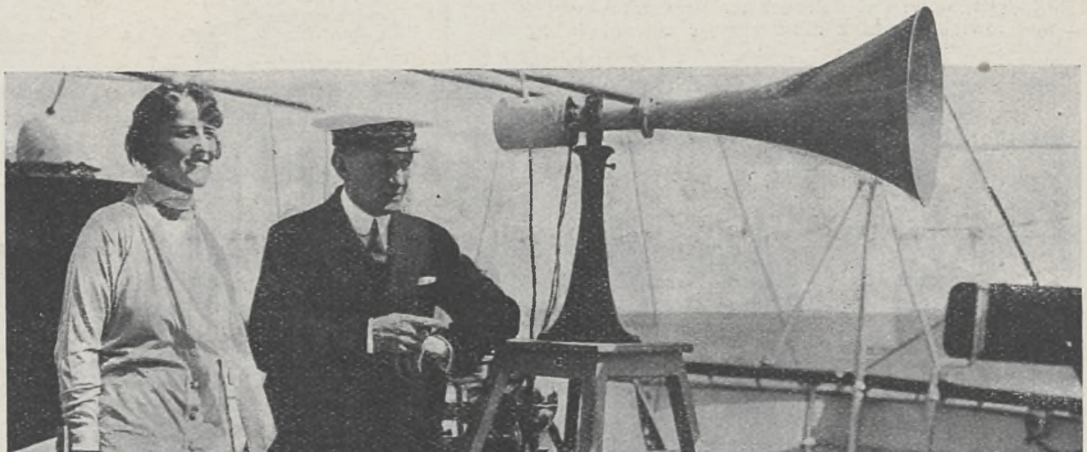
Oto garść uwag, zaczerpniętych z „redakcji wielkiego dziennika eteru", które z przyjemnością powtarzam naszym Czytelnikom. Więcej na razie powiedzieć nie mogę, gdyż rozmowę co chwila przerywali utalentowani współpracownicy p. Weronicza, pp. Zygmunt Kisielewski, Zdzisław Marynowski, Tadeusz Strzetelski, Andrzej Wodzinowski. Wszystko to nazwiska znane, a z krótkich pytań i krótkich odpowiedzi wnieść mogę, że to gromada ludzi doskonale zgranych, pełna energji, inicjatywy i umiłowania radja. Zarezerwowałem sobie z „kolegą redaktorem" Weroniczem jeszcze niejedną gawędę, w międzyczasie jednak radbym usłyszeć, co myślą o tem wszystkiem Czytelnicy „7 Dni" i jakie mieliby pragnienia w zakresie programów.

Piszcie więc do nas, my o tem zakomunikujemy dyrekcji Polskiego Radja, a życzenia wasze z pewnością będą uwzględnione. *Er.*

Przenoszenie kolorowych filmów dźwiękowych przez radjo

Film dźwiękowy bynajmniej nie jest jeszcze ostatnim wyrazem rozwoju dziesiątej muzy, która w swym triumfalnym pochodzie kroczy do coraz nowych zwycięstw. Inżynier berliński Albert Aronheim przeprowadził cały szereg prób przekazywania na odległość, drogą przez radjo, nietylko filmów dźwiękowych, biało-czarnych, ale także kolorowych. Inżynier Aronheim zademonstrował ostatnio, zaproszonemu gronu publiczności, kolorowe filmy dźwiękowe, przeniesione na znaczną odległość, zapomocą wynalezionego przezeń aparatu. Aparat ten jest bardzo skomplikowany i polega na tem, że przy nadawaniu przesiewa się niejako poszczególne barwy i rozkłada je na fale odpowiedniej długości, które przekazuje się radjostacji nadawczej. Stacja odbiorcza, z fal tych rekonstruuje właściwe barwy i składa je w obrazy. Wynalazek ten ma przed sobą olbrzymią przyszłość, i już obecnie interesują się nim żywo wielkie wytwórnie amerykańskie, zdając sobie sprawę z przewrotu, jaki film kolorowy spowoduje w przemyśle filmowym.

CUDA TECHNIKI



Wielki wynalazca Guglielmo Marconi dokonał próby zapalenia na odległość światła ulicznego w Sydney, działając przy pomocy fal Hertza, z pokładu swego yachtu.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

Ponura prawda o radjo

To wszystko jest jednak potworne. Dla Winawera jest to może chleb z masłem, ale dla mnie jest to potworne: Marconi zapala lampy z odległości szesnastu tysięcy kilometrów. Straszna z tego wszystkiego narodziła się radość wśród rozmaitych uczonych pomyleńców, mnie to jednak wielkim wszystko napełnia smutkiem, bo w błyskawicowem świetle tych lamp, wszelka cudowność wygląda mizeracko, a wszelka bajka chlipie gorzkiemi łzami, że musi pójść na żebry. I to tak wciąż ze wszystkiem od chwili, kiedy człowiek stał się mądrzejszy od djabła, od stu djabłów, od całej armji djabłów. Djabeł zrobił haniebną plajtę. Przez parę tysięcy lat robił przeraźliwe sztuki, jadł ogień, parskał dymem, jeździł na miotle przez powietrze, rozmaite zabawne, lub wspaniałe czynił hocki-klocki; a teraz? Teraz może się powiesić. Wobec Winawera już wygląda jak tani kuglarz, naiwny łapserdak, cóż dopiero wobec Marconiego! Potężny djabeł, straszliwy władca ciemności, profesor czarnej magji, może się zaangażować do takiego cyrku, który daje przedstawienia w Siedlcach, albo w Płońsku. Djabli wzięli djabła i jego czarnoksięstwo.

Więcej mi żal bajki, dobrej, poczciwej bajki, albo i tej głośnej, która się działa podczas tysiącznej pierwszej nocy. Latał wtedy potężny ptak Roch, co zasłaniał słońce. O, ptaszynko miła, której jajeczko było tak wielkie, jak dom! Z cudownego tego ptaszęcia zrobili pieczyste. Nie widać go już na niebie; przerażony warkotem i naszczekiwaniem aeroplanów, zaszył się gdzieś w pieczarze czasu i już nigdy na świat nie wyjrzy.

A z Rochem razem zniknął i ten dywanik czarodziejski ,na którym latał Merlin i perskie dziewice; straszny człowiek stłukł naiwne lusterko, w którem można było zobaczyć, co się dzieje w odległości stu mil, do rupieciarni poetyckiej rzucił wszystkie cudowne zabawki, przeraźliwie mądry i straszny, widzący na odległość tysięcy tysięcy kilometrów, słyszący to, co brzmi z drugiej strony ziemi. Umarła bajka niebieskooka.

Wraz z djabłem ogoniastym, plajtę wielką zrobili i brodaci święci mężowie, cudy czyniący. Ohydnie mądry człowiek nie uszanował nawet i tych poczciwców, co chodzili w wielkiej chwale wieków i słusznie, bo jeden umiał wodę wywieść ze skały, inny znów inne przyjemne robił sztuki. Patrzą teraz szeroko otwartemi oczyma ci mężowie dostojni i rwą swoje srebrne brody z rozpaczy.

Tak dalej być nie może, jeśli się bowiem rozumnej temu nie położy tamy, staną się rzeczy jakieś okropne. Człowiek zajedzie na księżyc, rudę żelazną będzie woził z Marsa, a na Wenerę będzie jeździł na niedzielne popołudnie. Przewędruje wszechświat, a ziemię skurczy i pomniejszy tak, że będzie wyglądała jak mały folwarczek. Wprawdzie natura jest nierychliwa, powolna, stateczna, długo myśląca, bo czasem miljon lat się namyśla, czy kogutowi dać ostrogę, a małpę przeobrazić w człowieka, jednak musi przyjść chwila, kiedy zrozumie, poczuje i wtedy senne otworzy oczy. Nie chciałbym być tym, na którego padnie to spojrzenie.

Jestem w tych sprawach przeraźliwych laik i ciemny jestem, jakgdybym domowe otrzymał wykształcenie; bystrze jednak patrząc, widzę, czego nie widzą w swojem ostrem szaleństwie ludzie uczeni. Są oni ogarnięci szatańską pychą, — szatańską z tych czasów, kiedy szatan jeszcze coś znaczył, — i patrząc wciąż w przestworza, zasłuchani w muzykę gwiazd, nie widzą tego, co się dzieje tuż przy nich. Mnie się jednak zdaje, że jakoby mnożą się oznaki jakiegoś kosmicznego gniewu. Gdzieś komuś zaczyna być już tego wszystkiego trochę zawiele. Nie wiem gdzie i nie wiem komu, bo tego się nie wie, tylko się czuje. Obserwacje swoje przeprowadzam w dziedzinie radja. Jak to najbardziej tępemu czytelnikowi wiadomo, radjo jest to straszliwy Golem, uwięziony przez złośliwego człowieka w pięknie rzeźbionej skrzynce; jest to potężny demon, którego człowiek używa do niskich posług i do pustej zabawy; jest to duch przestworzy, spętany tysiącem drutów, schwytany podstępnie; okropny ten duch, groźny i wspaniały, zeszedł za sprawą człowieka na psy i na byle skinienie musi biec dookoła ziemi z wywalonym ozorem i znosić swojemu panu wieści dokładne o tem, gdzie i o czem ktokolwiek co powiedział, gdzie co jaki Kataszek zagrał na saksofonie. Nieszczęsny ten duch, onego Kataszka niewolnik i sługa, choć syn błyskawicy i pioruna, kuzyn Volty i Galwaniego, zapóźno poznał swoje poniżenie i poczuł mękę; dał się schwytać i nic go już nie wyzwoli. Lecz już się opamiętał i już rozumie. Posłuchajcie, jak czasem radjo zajęczy, jak czasem warknie psim głosem rozpaczy, jak czasem gwiżdże, jak potępieniec. To nie antena, to nie błąd aparatu: to spętany demon ogłasza swoją bezsilną wściekłość, to sponiewierany piorun, z którego zrobiono lokaja i posłańca, warczy w furji. Ja się dlatego boję radja. Ja wyraźnie słyszę potępieńcze głosy, płacz czasem rzewny, a czasem krwawy, zły, drżący od tłumionej wściekłości, kiedy piorun, zamiast grzmieć jak sto baterych armat, musi śpiewać ochrypłym głosem:

„Idę alejami pod
szmaragdowy liści splot!"

Słucham tego zawsze z rzewnem współczuciem. A czasem przechodzi mnie dreszcz i pragnąłbym, aby ta spętana siła niebieska, rozbłysnęła nagle wielkim ogniem, rozwaliła swoje więzienie i huknęła tak, żeby wszystko djabli wzięli. Coś mi się tak zdaje, że jednak kiedyś tak się skończy. Nie może to być bowiem, aby człowiek śmiał bez końca naigrawać się ze swego niewolnika, królewskiego rodu i kazał mu powtarzać czasem takie brednie, że aż się zimno robi.

My słuchamy beztrosko i nie zdajemy sobie sprawy z oczywistości. Uczeni dali nam gadającą i śpiewającą zabawkę i zajęli się czem innem, jakiemś nowem, piekielnem łajdactwem. A tymczasem, powoli, powoli, nieznacznie, niewidocznie zaczyna się jakaś awantura we wszechświecie. Natura horret radio. Już oddawna utyskujemy na dziwne kaprysy atmosfery; gazety szukają najbardziej fantastycznych przyczyn, jedne mówią, że winne temu plamy na słońcu, inne z równą słusznością składają wszystko na masonów. Jeden lud tylko, prosty, nieuczony lud, jak zwykle, instynktem odnalazł przyczynę jedynie rozsądną, wskazując radjo, jako źródło całej hałaburdy. Chłopski rozum nie jest głupi. Jego tedy kierując się rozbłyskiem, pomyślmy, a przerażone otworzą się nam oczy. Nikt nie prowadzi statystyki, lecz gdyby prowadził, stwierdziłby dziwny i niepokojący zbieg, złośliwą jakąś zależność zaburzeń atmosferycznych od programów radjowych. Jest dzień, jak złoto, niebo bucha blaskiem słońca, niepokalaność niebieska nakryła cały świat: nagle pada na to wszystko mrok, gdzieś z nadmorskich pieczar wypełznęły chmury, jak cielne, ciężkie, leniwe krowy, a za chwilę niebo płacze słozami mokremi. Co się stało? Nic nadzwyczajnego. Należy spojrzeć do programu radjowego i odczytać, że pan Brzozka wygłasza prelekcję o racjonalnej budowli chlewni świńskiej . Sapienti sat.

Widać, że są rzeczy, których cierpliwe niebo znieść nie może. Natura zaczyna się bronić. A to dopiero początek, a końca nikt sobie dośpiewać nie może. Bo czyż my wiemy, czy w niebie nie słychać tych wrzasków, ryków, śpiewów i odczytów? Czy „skrzynka radjowa", albo potężne obwieszczenie, że „mydło rewolwer firmy Majde jest najlepsze", nie płoszy aniołów, co jak złote pszczoły latają po niebieskiej łące? Więc się niebo czemprędzej zasłania chmurami, robi sztuczną zasłonę gazową między sobą, a ziemią, albo, zrozpaczone, grzmi. Oto do czego prowadzą wynalazki, oddane do rąk szaleńcom, prelegentom i muzykantom. Ha!

Nikt sobie wyobrazić nie może, co się musi dziać w atmosferze, dotąd pełnej harmonji i ładu cudownego, kiedy cały świat zacznie w nią wiewać swoje straszliwe dźwięki, brzęki, krzyki, wrzaski i radjofonizowane sceny dramatyczne. Jest to chińska tortura wody, wlewanej do żołądka skazańca. Oszalała, do kresu udręki doprowadzona natura, straciwszy z nadmiernego bólu poczucie godności i miarę czasu, zamiast w błękitnej trwać pogodzie i prząść z uśmiechem słoneczny len na złote nici, usiłuje ten pożar opętanych wrzasków zalać wodą deszczu, albo w porywie rozpaczy, walić w ten cały bałagan piorunami, albo chce gradem go wytłuc. Niebo drży z wściekłości, a pan dr. Pokrzywka, jak gdyby nic, tłómaczy mu dobrotliwie, czasem się jąkając, że krowy najlepiej karmić makuchami.

Pan Bóg jest cierpliwy, nieskończenie cierpliwy; gwiazdy są wieczyste i wiele widziały; jak długo ludzie wiercili sobie nawzajem dziury w brzuchach, mało to obchodziło i dobrego Pana Boga i złote gwiazdy, a cała przyroda patrzyła na to z doskonałą obojętnością; kiedy jednak zaczęło codziennie, programowo, metodycznie wiercić dziurę w jej dostojnym brzuchu, — ryknęła baba, zagrzmiała i zatrzęsła ziemia. A niebo, nie mogąc połknąć wody, wlanej w nie przez radjo, oddaje ją ziemi w przeraźliwym gniewie.

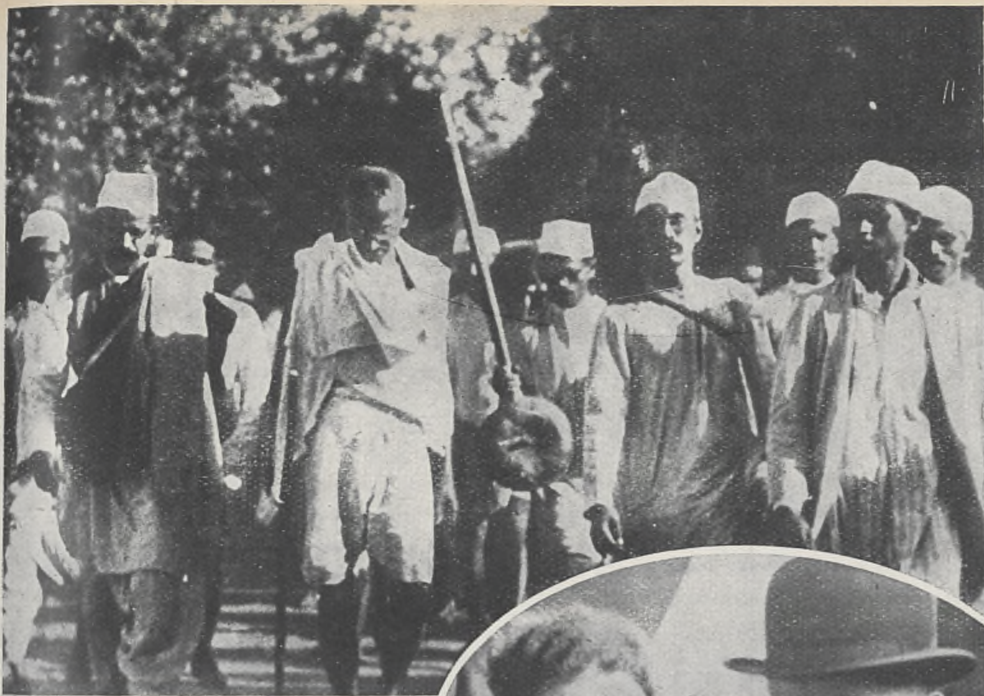
Widzę to wszystko i ostrzegam, aby kiedyś nie było zapóźno. Niby niewinne, radjo, brzuchomówca niepozorny, rozdziawiony wiecznie pysk, może wywołać taki kataklizm, o jakim się filozofom nie śniło. Jeszcze parę odczytów, a zobaczycie!



Znakomita pieśniarka polska, świetna odtwórczyni pieśni Schumana i Schuberta, p. Elżbieta Pańska, wystąpi 15 b. m. z własnym recitalem w sali Konserwatorjum warszawskiego. Koncert ten, jak i wszystkie poprzednie, cieszyć się zapewne będzie zasłużonem powodzeniem.



Amerykański lotnik Yancey, który odleciał z New Yorku z dwoma pasażerami, wylądował szczęśliwie na wyspach Bermudskich. Brawurowy ten lot był znacznie utrudniony wskutek fatalnych warunków atmosferycznych.



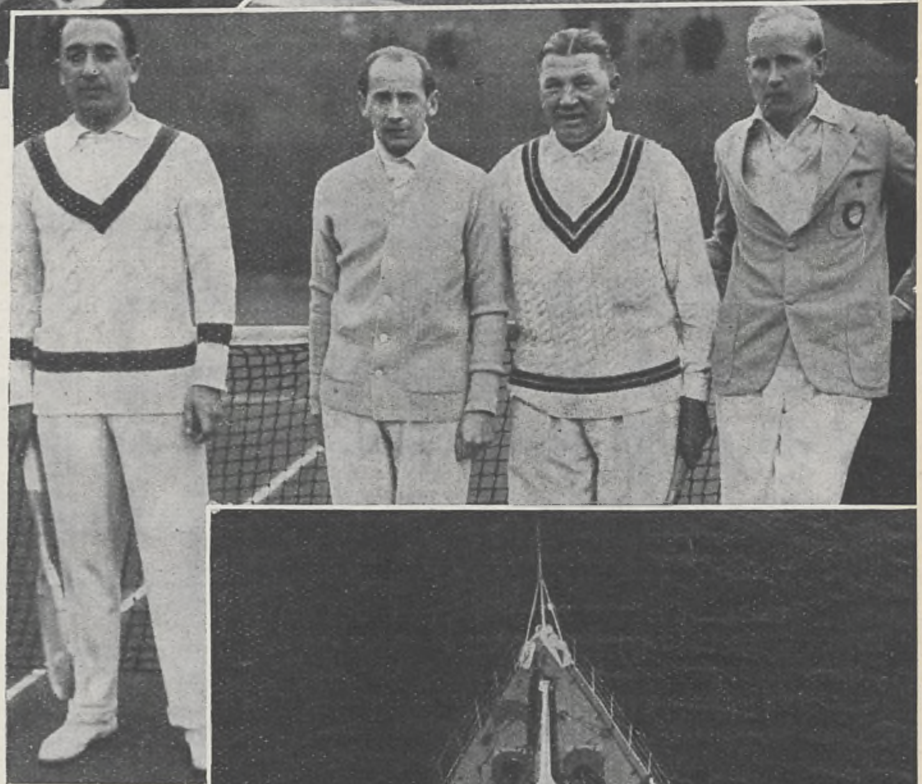
Ghandi doszedł do morza. Opór przeciw Anglikom rozszerza się w całych Indiach.

W Kopenhadze odbyły się uroczystości ku czci Andersena, w których pomiędzy innymi wzięła udział dziatwa szkolna w strojach, dostosowanych do tematów słynnych bajek popularnego pisarza.





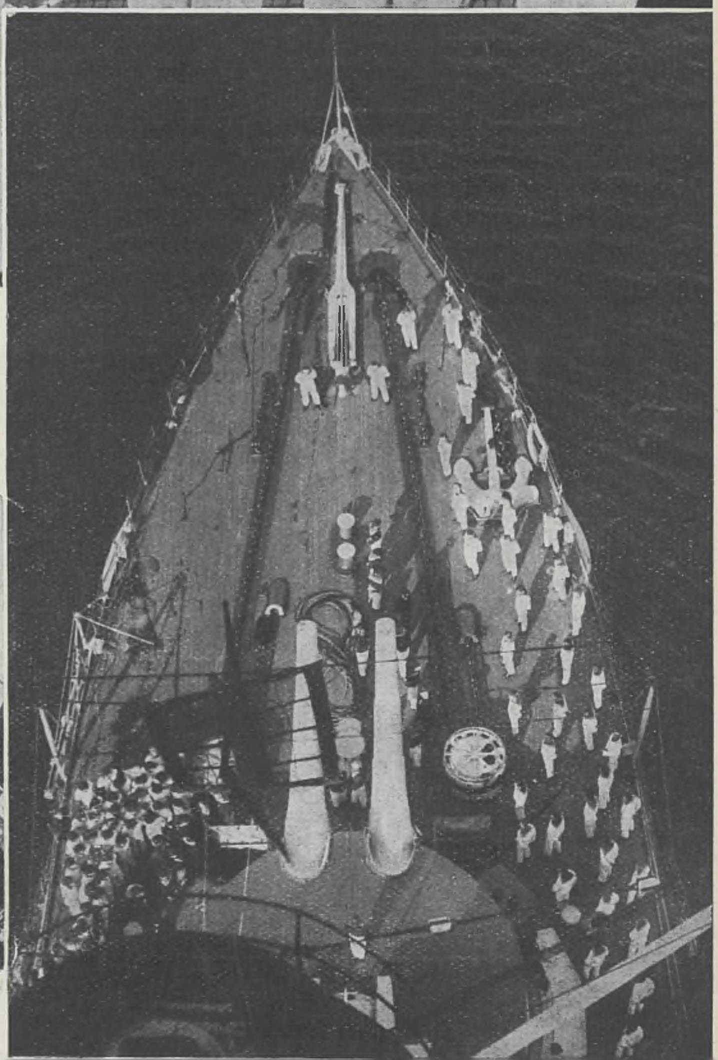
Król belgijski powrócił z Egiptu do Brukselli



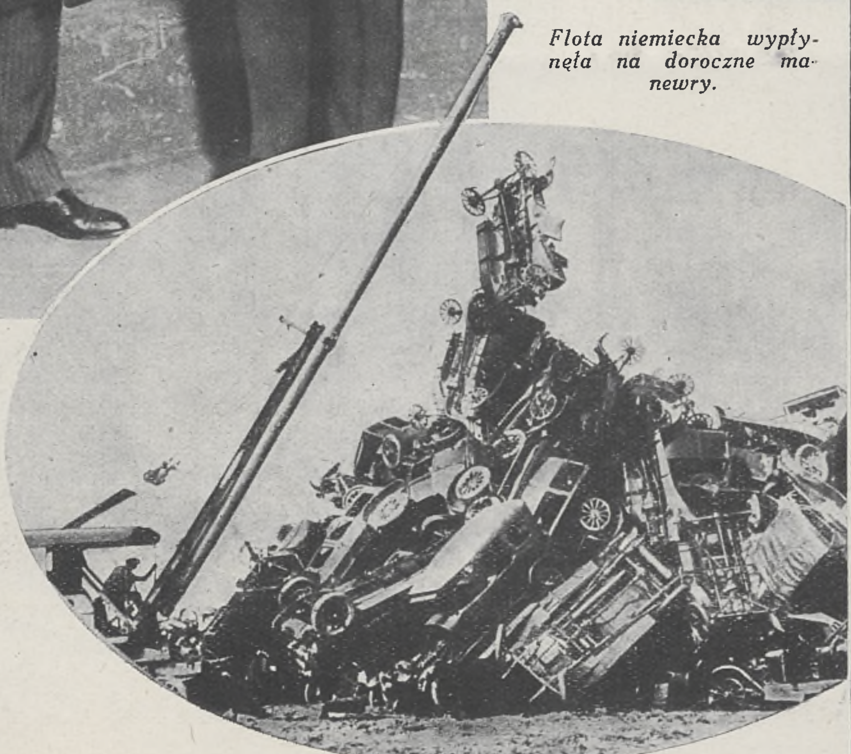
Zawodnicy o puhar Davisa: Prenn, Kleinschrott, Naiuch i Kuhlman



Ambasadorowie Filipowicz i Willys w Ohio na uroczystości ku czci Marszałka Piłsudskiego



Flota niemiecka wypłynęła na doroczne manewry.



Cmentarzyska starych samochodów w Ameryce.

TELEFUNKEN



„Telefunken - Haus", berlińska centrala koncernu Telefunken, przy ulicy Hallesches Ufer 12.

Ziemia staje się coraz ciaśniejszą. Czas i przestrzeń zmniejszają się z każdym rokiem. Podróże, które jeszcze przed kilkudziesięciu laty trwały całemi tygodniami, dzisiaj skrócone zostały do niewielu godzin. Epoka maratońskiego bohatera, który złożył swe życie w ofierze, by jaknajszybciej przynieść wiadomość radosną o zwycięstwie minęła bezpowrotnie. Maratończyk przedzierżgnął się w skromnego pracownika ze słuchawkami na uszach, który w ułamek sekundy podchwytuje wszystkie radosne i złe wieści płynące z eteru. Romantyczny pocztyljon gnający setki kilometrów czwórką bystronogich koni zastąpiony został przez prozaicznego listonosza, roznoszącego kilka razy dziennie stosy listów i depesz.

Przemiany tej, odzierającej życie z blasków romantyzmu dokonała nowa bogini, Telegrafja, z głową przystrojoną w rozpięte ramy anteny, z piersią, w której nieustannie bije źródło fal Hertza. Bogini ta przybrała sobie tysiące imion, a pałace jej, niczem świątynie, rozsiane są po wszystkich krajach. Miejscem, skąd zaczęła rozprostowywać swe ramiona, by dotrzeć niemi do najdalszych zakątków świata, są Niemcy.

W roku 1903 powstaje w Niemczech potężny koncern „TELEFUNKEN", łączący w sobie dwa wielkie towarzystwa: „POWSZECHNE TOWARZYSTWO ELEKTRYCZNE" (AEG) kierowane przez prof. Slaby'ego i hr. Arco oraz Towarzystwo „SIEMENS I HALSKE" pod zwierzchniem kierownictwem prof. Grauna. W owym czasie oba sfuzjonowane towarzystwa rozporządzały 163 stacjami telegraficznemi, rozsianemi po całych Niemczech, Szwecji i Stanach Zjednoczonych. Rok 1906 jest dla TELEFUNKEN rokiem przełomowym. W wyniku bowiem I Międzynarodowej Konferencji Telegrafu Iskrowego, odbytej w Berlinie, zostaje rzucona myśl utworzenia komunikacji bezdrutowej poprzez Ocean Atlantycki. Małe miasteczko Nauen staje się terenem budowy największej stacji telegrafu iskrowego na ziemi. W ciągu najbliższych 3 lat od konferencji, stacja w Nauen osiąga zasięg na przestrzeni 4.600 klm. stając w ten sposób do konkurencyjnej walki ze światowym koncernem Marconi'ego. Walka doprowadza wreszcie do porozumienia pomiędzy dwoma potężnymi konkurentami, którzy tworzą wspólnie „Niemieckie Towarzystwo Telegrafji Bezdrutowej", znane powszechnie pod skrótem „DEBEG". TELEFUNKEN I DEBEG, pracując ręka w rękę, budują wielką ilość stacyj nadawczych i odbiorczych we wszystkich częściach świata, przyczem zasadniczą stacją, przez którą kontrolowane są wszystkie telegramy jest stacja w Nauen. Ostatni rok wojny światowej przynosi nową zdobycz w postaci drugiego siostrzanego towarzystwa „TELEFUNKEN" a iamnowicie: Tow. Akc. „TRANSRADJO".

Nadchodzi okres powojennej inflacji i ogólnego upadku gospodarczego. TELEFUNKEN jednak jest w tem szczęśliwem położeniu, że może zdobycze, jakie przyniosła technika wojenna, w bardzo szybkiem tempie zastosować do potrzeb pokojowych, i niewzruszone żadnemi wstrząsami ekonomicznemi wchodzi teraz dopiero w swoją właściwą epokę rozwoju. Do roku 1925 staje się TELEFUNKEN posiadaczem 400 niemieckich i 407 zagranicznych patentów oraz posiada prawo eksploatacji patentów, będących w posiadaniu: „Marconis Wireless Telegraph Company Ltd", „Radio-Corporation of America", „Société Française Radio-Electrique" oraz „Compagnie Générale de Télégraphie sans Fil".

W ten sposób koncern TELEFUNKEN staje się nieomal wszechwładnym mocodawcą na całym świecie. Opis poszczególnych faz rozwoju, jak również rozpatrzenie detali zdobyczy, osiągniętych przez TELEFUNKEN wymagałoby napisanie olbrzymiego tomu tak historycznego, jak i technicznego. Te skromne ramy niniejszego artykułu pozwalają nam skreślić zasadnicze tylko etapy prac koncernu oraz organizacje wszechświatową, która niema sobie równej.

Zakłady TELEFUNKEN wyrabiają aparaty nadawcze wszystkich typów, poczynając od szkolnych 5-wattowych, do potężnych 100-kilowattowych. Wspólnie z Debegem TELEFUNKEN uzbraja prawie 95% handlowej floty niemieckiej w aparaty nadawczo - odbiorcze, które są w nieustannej komunikacji iskrowej ze wszystkiemi lądowemi stacjami telegrafu. Również pasażerskie olbrzymy transoceaniczne linji: „Hamburg-America Linie", „Nord - Deutschen - Lloyd", „Hamburg-Ameryka Południowa", „Afryka - Linie", „Kosmos - Linie" i „Austral - Linie" mogą w każdej chwili porozumieć się z lądem, co staje się nieocenioną usługą dla pasażerów, załatwiających w swej podróży poważne interesy handlowe i finansowe. Koszta, związane z nadawaniem telegramów iskrowych z jakiejkolwiek stacji niemieckiej za pośrednictwem stacji lądowej na okręt są stosunkowo niewielkie. Nadanie 10 słów depeszy kosztuje 6 mar. 50 fen. Podczas gdy przez stacje angielskie 11 mar. 20 fen., holenderskie 10 mar. 10 fen., francuskie 8 mar. 40 fen., portugalskie 9 mar. 20 fen., hiszpańskie 9 mar. 50 fen. i włoskie 10 mar. 40 fen.



Hrabia Arco, twórca koncernu Telefunken.



Rozwój zasięgu stacji Nauen od roku 1906 do 1918.

Powstałe w ostatnim roku wojny światowej towarzystwo „TRANS-RADJO" objęło swoją organizacją wszystkie komunikacje iskrowe pomiędzy kontynentami. Technika nadania telegrafu iskrowego za ocean z najmniejszej miejscowości w Niemczech odbywa się w sposób następujący: Urząd Pocztowo - Telegraficzny przyjmuje tekst depeszy, który za pośrednictwem centrali w Berlinie zostaje przekazany do stacji nadawczej w Nauen, skąd idzie w adresowanym kierunku. W Niemczech TRANS-RADJO posługuje się stacjami: w Nauen, Eilvese w Hanoverze, wielką stacją odbiorczą w Geltoff pod Poczdanem oraz na wyspie Syld. Stacja w Nauen pracuje bezpośrednio ze stacjami w New-Yorku, z wielką stacją Monte - Grande, w Buenos - Aires, z angielską stacją Abu - Zabal w Egipcie, z Mugdenem w Mandżurji, z Malabarem na Jawie oraz służy, jako pośredniczka w przekazywaniu depesz pośpiesznych do Hirano w Japonji.

Przy pomocy swych bezpośrednich linij w Północnej i Południowej Ameryce pracuje ze wszystkiemi krajami całego kontynentu amerykańskiego oraz z zachodniemi Indjami. Linją z Abu - Zabal przesyła depesze do Egiptu, Palestyny, Syrji, Libanu, Abisynji, Erythrei, Włoskiego Somalisu i Iraku. Połączenie z Malabarem pozwala się skomunikować z całemi Indjami holendeskiemi. Via Mugden porozumiewa się ze wschodniemi prowincjami Mandżurji, Shenkingu, Kirinu i Hajlungkiangu.

O szybkiem rozwoju komunikacji iskrowej Transradja niech nam posłuży następująca tabelka: do końca sierpnia przesłano słów:

w 1919	610.000
w 1920	2.948.000
w 1921	8.576.000
w 1922	11.304.000
w 1923	11.759.000
w 1924	13.990.000

Ostatniemi zdobyczami Koncernu TELEFUNKEN są anteny okrętowe i lotnicze, przy pomocy których okręt, jak również i samolot, prócz możności bezpośredniego połączenia się ze stacjami nadawczo - odbiorczemi, lądowemi i morskiemi, może ściśle zorjentować się o miejscu swego pobytu tak na morzu, jak i w powietrzu. Odpowiednie manipulowanie położeniem anteny ramowej reaguje na fale, płynące ze stacyj lądowych, a natężenie tej reakcji umożliwia dokładne wyliczenie szerokości i długości geograficznej. Wynalazek ten jest wprost nieoceniony dla obliczeń nocnych, względnie we mgle, kiedy staje się rzeczą niemożliwą przy pomocy dotychczasowych przyrządów astronomicznych obliczyć wysokość słońca.

W ostatnich dniach wojny europejskiej, inżynierowie zakładów TELEFUNKEN rozpoczęli pracę nad skonstruowaniem aparatu telefonicznego, przy pomocy którego możnaby było porozumiewanie się bez drutu. Wysiłki te zostały uwieńczone pomyślnemi skutkami. Aparatura, składająca się z dwóch części: nadawczej i odbiorczej, umożliwiła lotnictwu wojskowemu, natychmiastowe połączenie się z dowództwami frontów, korpusów, dywizyj oraz z lotniskiem macierzystem.

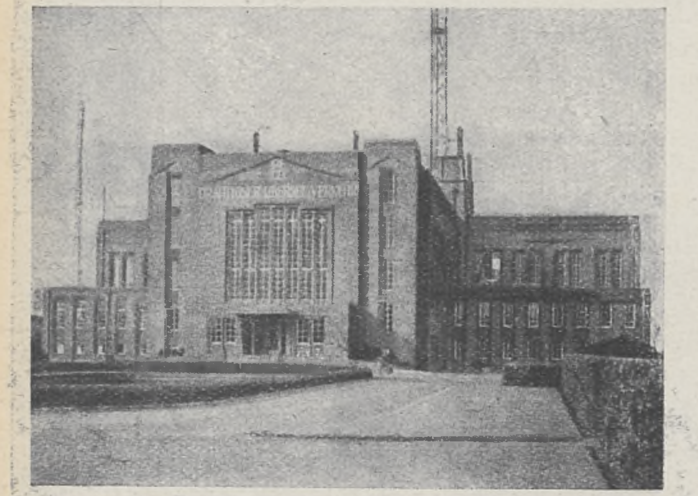
Po wojnie nowy ten wynalazek został zastosowany w lotnictwie cywilnem, jak również dla rozmów prywatnych. Wkrótce też zostało wybudowane przez koncern TELEFUNKEN 114 stacyj nadawczo-odbiorczych. Również liczne stacje tego typu, zamówione w TELEFUNKEN, powstały w Szwecji, Norwegji, Szwajcarji, na Węgrzech, w Rosji i Czechosłowacji.

Zeppelin, który pod dowództwem dr. Eckenera odbył swój słynny lot dookoła świata, posługiwał się aparaturą antenową TELEFUNKEN, dzięki czemu nie zmylił ani razu kierunku swej trasy przelotu.

Na wystawie w Monachjum w 1925 r. koncert TELEFUNKEN wystawił swoje eksponaty w 3 olbrzymich halach. Eksponaty te składały się: z urządzenia kabiny okrętowej, z aparatami nadawczo - odbiorczemi, plastycznemi modelami organizacji Telefunken na wszystkich kontynentach, oraz stacją nadawczo-odbiorczą, wbudowaną w najnowszy typ samolotu Junkersa. Prócz tego w specjalnej hali był wybudowany specjalny model stacji w Nauen, która posiada 12 masztów dla komunikacji iskrowej przy pomocy fal długich oraz prowizorycznego laboratorjum eksperymentalnego do zastosowania w komunikacji iskrowej fal krótkich. Wystawa ta wzbudziła prawdziwy podziw i zachwyt nad genjuszem współczesnej techniki i twórczej myśli ludzkiej.



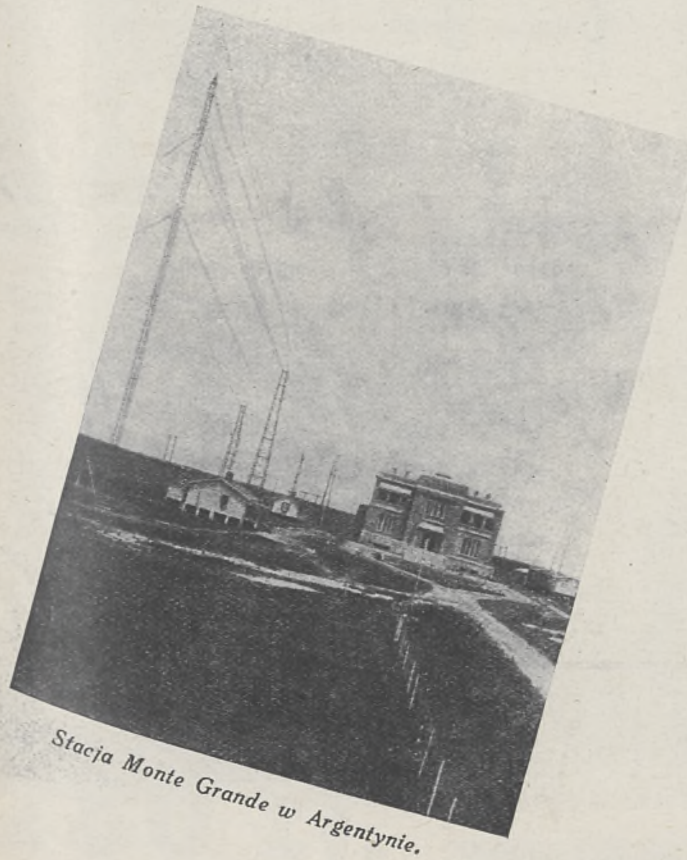
Siedziba centrali „Transradjo" przy ulicy Oranienburger 35/36, w Berlinie.



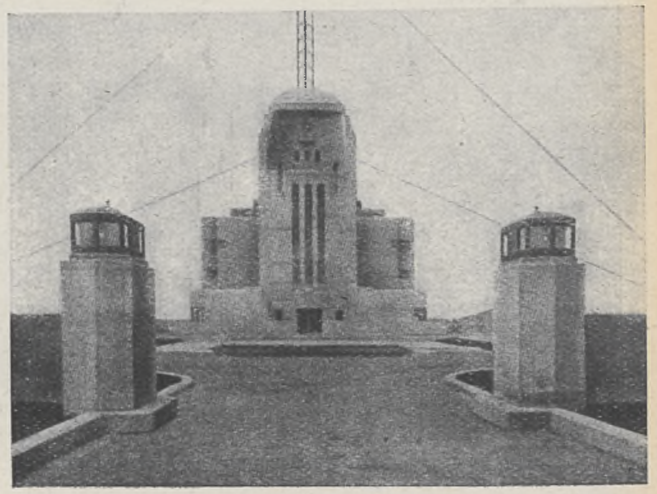
Wielka stacja Telefunken w Nauen.



Stacja w Malabar na wyspie Jawie.



Stacja Monte Grande w Argentynie.



Stacja Kootwijk w Holandji.

POLSKIE ZAKŁADY PHILIPS

Podstawą dobrobytu każdego państwa jest samowystarczalność.

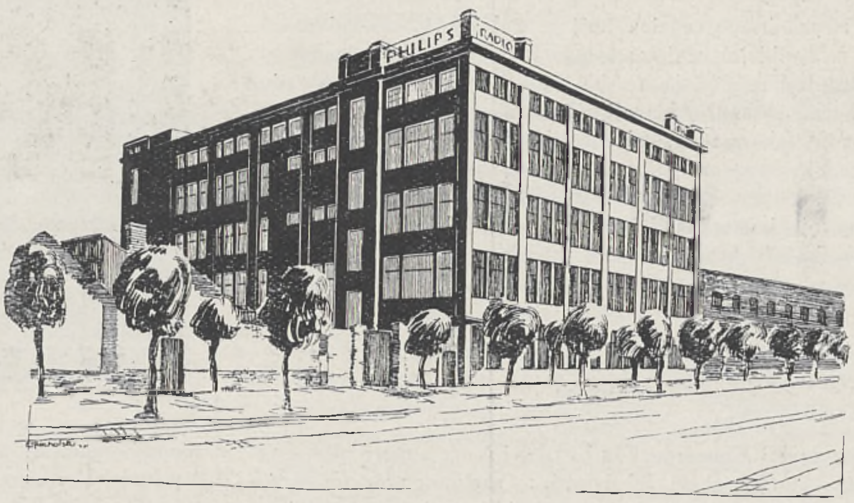
Jest to hasło tak dominujące we współczesnem życiu gospodarczem, że liczyć się z niem muszą najpotężniejsze nawet organizacje przemysłowe. W imię tego hasła, zaniechały te potężne jednostki gospodarcze przestrzegania dawnej zasady centralizowania wytwórczości w danem mieście i zaopatrywania stąd rynków światowych, a przeciwnie przeszły do zasady decentralizowania, polegającego na tem, że przenoszą zakłady wytwórcze do krajów, które zamierzają zaopatrywać w swoje produkty. Ta zasada ma dwie ogromne zalety, przedewszystkiem zatrudniając miejscowe siły daje możność zarobku wielkim rzeszom pracowników i robotników i produkując na miejscu, podnosi dobrobyt danego kraju, a zarazem zmniejsza przywóz zagranicznych artykułów, z drugiej zaś strony mając oparcie o kapitał zagraniczny, a także o wieloletni zapas doświadczenia technicznego swoich centralnych zakładów, mają możność najwydajniejszej i najekonomiczniejszej pracy.

Z tego samego założenia wyszedł także holenderski koncern Philipsa, który w roku 1923 uruchomił polską fabrykę w Warszawie, która od tego czasu z roku na rok powiększa się, rozbudowuje i osiągnęła obecnie rozmiary, stawiające ją narówni z najpoważniejszemi fabrykami krajowemi.

Budynki mieszczą się na placu o powierzchni 30.700 m. kw. W tej chwili znajdują się na wykończeniu 2 zupełnie nowe gmachy fabryczne, z których jeden pomieści pierwszą w Polsce hutę szklaną dla wyrobu żarówek i lamp żarowych, o 8-miu piecach i dziennej produkcji 30.000 balonów. Drugi budynek pomieści salę maszyn, kotłownię i część magazynów.

Obydwa gmachy znajdują się już pod dachem i są obecnie zaopatrywane w najnowsze urządzenia techniczne, przy uwzględnieniu jaknajdalej idących wymagań higienicznych. Uruchomienie tych 2-ch nowych fabryk nastąpi w najbliższych miesiącach.

Prócz tego, w ubiegłym roku, wykończony został 4-piętrowy żelazo - betonowy gmach, posiadający 1.500 m. kw. powierzchni na każdem piętrze. Gmach ten mieści w sobie narazie biura (zatrudnionych jest około 400 urzędników) w niedalekiej już przyszłości użyty będzie do właściwego celu,



Nowy gmach biurowy Polskich Zakładów Philipsa. S. A.

t. j. zmieniony zostanie w myśl swego przeznaczenia na fabrykę sprzętu radjowego.

Polskie Zakłady Philips, dbając o dobro swoich współpracowników, mają już zorganizowane względnie w przygotowaniu i w stadjum założenia cały szereg urządzeń, które mają na celu wytworzenie odpowiedniej atmosfery współpracy, jak również niesienie pomocy i ułatwienie pracy w najrozmaitszych dziedzinach.

Zrzeszenie Pracowników Umysłowych PZP otrzymało od Dyrekcji do dyspozycji stołownię oraz wzorowo urządzoną kuchnię, która wydaje codziennie ok. 200 obiadów po nader przystępnej cenie.

Dla robotników fabrycznych został założony specjalny Klub Philipsa, który w ramach swoich mieści sekcję sportową, muzyczną, bibliotekę i t. d.

Pozatem zakupiono parcelę budowlaną przy ul. Dworskiej o powierzchni 48.000 m. kw., przeznaczoną do budowy domów robotniczych, które dadzą pomieszczenie pracującym w fabryce robotnikom, z których każdy otrzyma wygodne i higjeniczne mieszkanie. Roboty zostaną rozpoczęte w najbliższym czasie.

Celem spopularyzowania idei radja w Polsce, jakoteż racjonalnego oświetlenia, PZP w większych miastach prowincjonalnych urządziły stałe wystawy pod nazwą: „Radjo i Światło", w których specjalnie szkoleni fachowcy wygłaszają odczyty i przeprowadzają demonstracje najnowszego sprzętu radjowego, jakoteż racjonalnego oświetlenia biur, mieszkań, fabryk i t. d. Stałe takie wystawy znajdują się dotychczas w następujących miastach: Warszawa, Katowice, Łódź, Bydgoszcz, Kraków, Wilno, Lwów.



Grupa pracowników Polskich Zakładów Philips S. A.

REPERTUAR TEATRÓW

WIELKI

dn. 10 b. m. „Lohengrin"
dn. 11 b. m. „Legjon"
dn. 12 b. m. o 3 pp. „Straszny dwór"
— o g. 8 wiecz. „Wesele Figara"
dn. 13 b. m. o godz. 6 pp. „Parsival"
dn. 14 b. m. „Legjon"
dn. 15 b. m. „Rigoletto" (występ gościnny V. Weinberg)
dn. 16 b. m. o g. 6 pp., 17, 18, 19 i 21 b. m. z powodu świąt Wielkiej Nocy przedstawienia zawieszone.

NARODOWY

codziennie „Don Juan" Rittnera

LETNI

codziennie „Maman do wzięcia"

NOWY

codziennie „Szalony dzień" i „Dardanelle" — Emila Mazaud

POLSKI

codziennie „Dom kobiet"
od dn. 16 b. m. „Volpone" Ben Jolsona

MAŁY

codziennie „Związek niedobrany" Shaw'a
od dn. 15 b. m. „Strach na wróble" Kiedrzyńskiego

QUI PRO QUO

codziennie wspaniała rewja p. t. „Maj za pasem"

MORSKIE OKO

codziennie rewja p. t. „Uśmiech Warszawy"

WESOŁY WIECZÓR

codziennie rewja p. t. „Pod Messalką"

CYRK

codziennie II program Cyrku Staniewskich

Miljony, których nikt nie chce

W państwowym banku angielskim leżą do dyspozycji urzędu skarbowego pieniądze — ni mniej, ni więcej, tylko 65 miljonów złotych, które dają samego procentu cztery miljony rocznie. Są to angielskie papiery państwowe, akcje i pożyczki, o które żaden człowiek się nie troszczy, po które nikt się nie zgłasza i dlatego zajął się niemi rząd angielski, lokując je w Bank of England, jako depozyt. Jaka jest rzeczywista wartość tych bezpańskich papierów, pozostawionych na łasce losu, a nominalnie opiewających na 4 przeszło miljony funtów szterlingów, mogliby jedynie powiedzieć niektórzy wyżsi urzędnicy Banku Angielskiego, ale ci milczą. Należy jednak przypuszczać, że warte one są więcej niż 165 miljonów złotych. Bank państwowy wstrzymuje się od opublikowania nazwisk i udziału w tych bogactwach ludzi, którzy o nich zapomnieli, pozostawili je w kasach oszczędności, czy oddziałach Banku Angielskiego na los szczęścia. Nic dziwnego — w takim bowiem wypadku nie obeszłoby się bez tłumnego zgłaszania fałszywych pretensyj i nie dałoby się uniknąć oszustw, misternie komponowanych przez różnych spekulantów i zwykłych, fachowych kryminalistów. Dopiero więc, kiedy ktoś sam zgłasza się po nie do odnośnych władz i najczęściej na drodze sądowej, albo niezbitemi dowodami wykaże prawo własności do poszczególnej kwoty, czy konta, zapas ulega zmniejszeniu, przeważnie jednak nieznacznemu. Cała ta bowiem olbrzymia suma figuruje na 10.900 kontach, z których większość nie przenosi sumy 100.000 złotych, a tylko jedno opiewa na 7.320.000 złotych. Ktoś mógłby sobie wybierać po dwadzieścia tysięcy codzień przez okrągły rok, ale taki ktoś nie zgłasza się. Dlaczego?

Wielu z posiadaczy tych papierów wyjechało zagranicę, do ogromnych kolonji brytyjskich i nie daje o sobie znaku życia. Wielu znów jest takich, którzy z powodu choroby czy starości stracili pamięć. Inni znowu, całe setki ludzi, umarli, a w testamentach, jeśli je wogóle zostawili, nie wspomnieli ani słowem o posiadanych przez się wartościowych papierach państwowych. I dziś jeszcze dopiero śmierć posiadacza jakiegoś konta pozwala upomnieć się o pieniądze jego spadkobiercom. Tak np. zdarzyło się z pewną angielką, staruszką, która przed sześćdziesięciu laty wyjechała do Marsylji, nabywszy przedtem pewną ilość państwowych papierów procentowych, o których później zapomniała zupełnie. Z czasem zdziwaczała, zaczęła w swoim skromnym domku chować całe stada różnych ptaków, żyła skromnie, a dzięki jakimś przejściom nie przeglądała nigdy stosu różnych papierów i listów w swem biurku. Utrzymywał ją nawet jakiś daleki kuzyn, który dopiero po jej śmierci natknął się w papierach babki na ślad, który zaprowadził go do kasy Banku of England, gdzie wypłacono mu, jako spadkobiercy, całą sumę, która wraz z procentami równała się 2 miljonom 400 tysiącom złotych. Staruszka widocznie miała jakąś lukę w pamięci i mogło się zdarzyć, że pieniądze pozostałyby, jak te 165.000.000, bez właściciela. Ostatnio, w związku z konwersją pewnych obligacyj państwowych, rozesłano 68 000 listów do poszczególnych właścicieli; 12.700 listów wróciło, jako niedoręczone, z tych zaś zaledwie 1.200 odnalazło z czasem swych adresatów. W związku z tem wszystkiem wyszło w roku 1921 rozporządzenie, że procenty od papierów, których właściciele nie zgłaszają się, zostają po pięciu latach przesłane z poszczególnych oddziałów do centrali Banku Angielskiego, gdzie pozostają do odebrania jeszcze drugie pięć lat, a potem przechodzą na własność skarbu państwa. Bank of England, taksamo, jak inne banki, jest właścicielem pewnych depozytów w złocie i klejnotach. Niektóre z nich leżą już setki lat i przedstawiają fantastyczną wartość, w sumie nie mniejszą napewno, niż te 165.000.000 zł. bezpośrednich akcyj i pożyczek. A propos tych papierów procentowych! Może kto z nas zapomniał, że posiada coś z nich? Śpieszmy się, bo tylko do 1931 roku włącznie można będzie udowadniać własność leżących od lat procentów i sum. Potem już będzie zapóźno!

E. S.

OKŁADKĘ I UKŁADY FOTOGRAFICZNE PROJEKTOWAŁ

JERZY RADLICZ

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (13)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W Nizzy odbywa się Kongres Wielkiego Traktatu Narodów, pod przewodnictwem ambasadora Anglji, lorda Yeovil. Dzięki pomocy Granta Slattery, Stany Zjednoczone zostają zaproszone do udziału w pracach Kongresu. Grant udaje się w podróż do Ameryki. Na drugi dzień po wypłynięciu z Monte Carlo spotyka na pokładzie yachtu księżnę von Dirs, byłą swoją narzeczonę, która potajemnie wkradła się na pokład by uciec z Grantem do Ameryki.

ROZDZIAŁ XXI.

Nazajutrz, około południa, przepłynęła „Szara Dama" Gibraltar, nie zatrzymując się w porcie. Grant, który całe przedpołudnie spędził na mostku, zeszedł na pokład. Fotel, na którym siadywała Gertruda poprzedniego dnia, był pusty. Z przylegającej do pokładu małej palarni wyszedł Brookes z kieliszkiem cocktailu na tacy.

— Gdzie jest pani? — zagadnął służącego.

— Jej wysokość oświadczyła, że zostanie dziś u siebie. Prosiła, aby pan nie przeszkadzał sobie z jej powodu, jest tylko trochę zmęczona.

Grant zaniepokoił się:

— Kto dogląda księżnej?

— Myślałem właśnie o sobie, sir, o ileby pan nie miał nic przeciw temu i zadowolił się Jacksonem, który jest w jadalni i czeka na pana rozkazy.

Grant zgodził się i poszedł, aby w samotności zjeść lunch. Zamiast uczucia spokoju, że uwolnił się od jej błagających i smutnych oczu, poczuł przeważnie lęk i niepokój, nawiedzający ludzi samotnych. Jadł bez apetytu i nawet zapomniał o swem ulubionem whisky z wodą sodową. Popołudnie spędził przy jakiejś nieprzymusowej zgoła robocie, a o szóstej napisał mały liścik:

— Droga Gertrudo! Bardzi mi przykro, że niedobrze się czujesz. Czy będę miał przyjemność zobaczyć cię przy obiedzie?

Po kilku chwilach przyniósł Brookes odpowiedź:

— Drogi Grant! Nie stało mi się nic złego. Jeżeliby było dla ciebie rzeczywiście przyjemniej, to zejdę na obiad.

Grant był zły na siebie, że odczytanie słów Gertrudy sprawiło mu przyjemność. Owładnęła nim znów rozterka. Wiatr, który od rana dął silnie, zamieniał się stopniowo w huragan. Włożył wiatrówkę, zapalił fajkę i wyszedł na pokład. Przywykły do wiatru i morza od dzieciństwa, z trudem utrzymywał się na nogach. Schwycił się poręczy i spoglądał w dół na spienione fale rozgniewanego oceanu. Szare, ciężkie chmury zasłaniały niebo.

Szedł powoli w stronę mostku, gdy spotkał po drodze starszego oficera.

— Ciężkie morze, jak na tę porę roku — zauważył, salutując Granta.

— Czy sądzicie, że może być jeszcze gorzej? — zapytał.

Oficer potrząsnął głową.

— Myślę, że w nocy się wypogodzi. Przyjemnie jest popatrzeć, jak ślicznie nasz statek toruje sobie drogę wśród fal.

Grant porozmawiał na moście z kapitanem, poczem zeszedł do palarni, gdzie zastał Broookesa, mieszającego cocktaile.

— Proszę nam podać do obiadu butelkę najlepszego Cl:gnot — rozkazał.

— Jej książęca wysokość czuje się znacznie lepiej i zejdzie do jadalni — oświadczył służący.

Grant zdał sobie sprawę, że wiadomość ta ucieszyła go więcej niż przypuszczał i znów zły był na siebie. Stał w kołyszącej się kajucie i trzymał się silnie przymocowanego do ziemi krzesła. Z goryczą i żalem odczuwał tęsknotę za jej obecnością. Nagle poczuł zgoła nieoczekiwany dla siebie odgłos — odgłos jej śmiechu, gdy wchodziła wesoła i rozpromieniona, przytrzymując się ścian jadalni. Był wściekły na siebie za swą słabość. Uśmiechnął się jednakże i podszedł do niej, aby doprowadzić ją do krzesła. Spojrzała nań ze zdziwieniem:

— Cóż się z tobą stało, Grant? Masz tak świetny wygląd, jak jeszcze nigdy dotąd?

— To wiatr mnie tak osmagał. Cudownie było dziś po południu.

Przytaknęła wdzięcznym ruchem głowy:

— Obserwowałam burzę poprzez moje okienko. Niezwykle wygląda morze. Byłam zadowolona, że przysłałeś mi ten mały liścik.

Spojrzała na niego. Ręka, którą trzymał kieliszek zadrżała. Była znów niepospolicie piękna. Miała na sobie bardzo prostą suknię, z czarnego i srebrnego brokatu. Nie włożyła wcale biżuterji, nawet zwykły sznur pereł zostawiła w szkatułce, tak że cudowna linja jej szyi i niepospolita karnacja ciała uwydatniały się jeszcze bardziej. Rękawy sukni były szerokie i wolne.

— Obawiam się Gertrudo, że obraziłem cię wczoraj.

Ujęła lekko jego dłonie i trzymała je w swoich przez chwilę.

— Jesteś przemiły, Grant, tylko czasem trzymasz miecz katowski w ręku. Ale zapomnijmy teraz o tem. Mam wrażenie, że i ja mam burzę w sercu. Niech nam się zdaje, że nic się nie wydarzyło, że Otto czeka na mnie w hotelu, a ty niedługo pożegnasz się ze mną, by rozwikłać z lordem Yeovil problemy bridżowe. Tymczasem zjedzmy razem obiad.

— Jeżeli burza nam na to pozwoli — dodał Grant. — Obawiam się, że możemy być pozbawieni światła.

Mimo trudności obiad podawany był bez zarzutu. Oboje mieli znakomite apetyty. Rozmowa stała się lekka i miła; ich dziwaczna sytuacja, ich dziwne tête a tête pośród rozszalałego Atlantyku przestało jakoby istnieć. Opowiadała mu dużo o życiu arystokracji w Berlinie, o wpływach Lutrechta, radości życia Blunna i jego nie znających skrupułów ambicjach.

Grant, zawsze pełen rezerwy, opowiedział jej o swej tajemniczej wycieczce do Berlina, o swojem incognito i omijaniu wytwornych hoteli i restauracyj. Opowieść tę znał dotychczas tylko lord Yeovil, lecz Grant były tego wieczoru tak pełen serdeczności dla Gertrudy, że rozgadał się na dobre. Widział ją podczas swej obecności w Berlinie raz, kiedy kierowała swą maszyną. Powiedział jej nawet, jak była tego dnia ubrana. Uśmiechała się do niego podczas tych opowieści wesoło.

Szampan pienił się w ich kieliszkach i tańczył zgodnie z gwałtownemi pochyleniami statku.

— Wspaniałe są twoje wina, Grant. Człowiek zapomina przy nich o wszystkiem. A przytem te odgłosy burzy działają tak podniecająco. Nie jadłam dziś lunchu, więc jestem głodna i spragniona.

Brookes oddalił się. Zostali na chwilę sami. Pochyliła się nad nim i złożyła na jego ustach lekki, delikatny pocałunek.

— To burza tak działa, Grant. Wszystkie ukryte i zatajane sprawy dochodzą do głosu i wypełzający z dna duszy. Grant, kochanie, tak bardzo wyprzystojniałeś w ciągu tych trzech lat. Tak lubię twój sposób układania włosów i te szare niteczki, które pojawiły się na twoich skroniach.

— Gertrudo, czy chcesz mnie koniecznie uwieść?

— Gdybym tylko mogła! Ale pocóż myśleć o tem? Po co mówić? Lubię ten nastrój groźnej burzy i poczucie naszej samotności tu, na wzburzonym Atlantyku.

Grant zdobył się na wysiłek woli. Czuł zawrót głowy i chciał zdusić nastrój, który go opętał. Usiłował zmienić temat, nie mówić nic o ich sprawach osobistych. Lecz nastrój wytwarzany przez nią nie mijał. Jej oczy wciąż szukały jego spojrzenia, usta układały się do pocałunku.

— Grant — rzekła znów po chwili milczenia — jestem taka szczęśliwa, żeś mnie zaprosił tu na górę. Myślałam, że umrę z rozpaczy w mojej kajucie.

— Było mi ciebie brak, Gertrudo.

— Kochanie — wyszeptała — a jednak udajesz przede mną cały czas. Odnosisz się do mnie jak do intruza i jak do osoby, która dopuściła się śmiertelnego grzechu. I mnie również zdawało się przez to, gdy byłam na dole, sama, że nigdy nie wybaczę sobie, tego co uczyniłam. Byłam tak smutna i taka nieszczęśliwa.

Grant miał uczucie tropionego zwierza. Zdawało mu się przez chwilę, że niema dlań już żadnej ucieczki i żadnego ratunku. Poczuł nienawistne dla siebie pulsowanie w skroniach i głód prymitywnych instynktów. Rozpoczął na nowo walkę ze sobą, ze swoim sercem i zmysłami.

— Nie marzyłam nawet w najśmielszych snach o tem, że będę mogła być przy tobie, Grant. Sama z tobą.

— Ja również nie przypuszczałem, że będę mógł jeść w ten sposób obiad tu z tobą, sam na sam. Ale teraz przychodzi ciężka chwila. Czy potrafisz przejść ze mną do palarni po tej tańczącej podłodze?

— Owszem. Ale widzisz, wolałabym pójść z tobą do pokoju muzycznego. Stamtąd mam już krok do moiej kabiny. Możemy przecież i tam napić się kawy, prawda?

Przeszli do ślicznej różowo - białej salki, z której wchodziło się do apartamentów Gertrudy. Steward z trudem utrzymując równowagę przyniósł im kawę i likiery.

Nagle zgasły światła. Jedynie lampa patentowa, wisząca przy drzwiach rzucała mętne, słabe światełko.

Zjawił się Brookes.

— Kapitan rozkazał donieść panu, sir, że na pokładzie jest wszystko w porządku. Uszkodziły się tylko z lekka baterje elektryczne i dla tego należy na godzinę wyłączyć światło. Mechanik już je naprawia.

— Dobrze, Brookes. Przyjdę na pokład, zanim pójdę spać.

Służący oddalił się. Odgłosy wichru były coraz silniejsze i mocniej coraz zdawały się bić fale. Gertruda podeszła z trudem do pianina.

— Zaśpiewam ci coś teraz, Grant. Usłyszysz mój głos poprzez burzę. Zbliż się, abym mogła patrzeć na ciebie.

Uderzyła kilka znajomych mu akordów. Jakieś mgliste wspomnienie przeszłości. Śpiewała „Mon coeur s'ouvre à ta voix", starą piosenkę, tak dobrze mu znaną. Śpiewała dźwięcznym głosem z akcentem ukrytej namiętności, akcentem, który burzył mu krew w żyłach. Kiedy skończyła, wyciągnęła doń ramiona. Ujął jej ręce, lecz trzymał ją zdala od siebie.

— Nie czyń tego, Gertrudo, — błagał.

— Słabo mi, Grant — wyszeptała.

Wziął ją na ręce i zaniósł do jej pokoiku. Wiatr świszczał coraz mocniej. Ostatnia lampa zagasła.

ROZDZIAŁ XXII.

Kiedy Grant, nazajutrz po przybyciu do New Yorku, wrócił z rannego spaceru, zastał w swej poczekalni troje ludzi, którzy zerwali się, aby go przywitać. Byli to: Jim Havers z „New York Letter", pan Tarleton z dziennika „Moon" i Booker z „Chronicle". W cieniu, na kozetce siedziała jakaś młoda osoba, zatopiona w lekturę.

— Jestem Phoebe Smiles — rzekła witając się z Grantem — sądzę, że słyszał pan o mnie...

Grant był zaskoczony i uścisnął wszystkim ręce.

— Jestem bardzo zadowolony, że widzę tu państwa u siebie. Jednakże zaznaczyć muszę, iż nie jestem ani wybitnym politykiem. ani literatem, ani też angielskim arystokratą. Nie mogę służyć żadną sensacją dziennikarską.

— Nie jest pan zupełnie tak, jak pan mówi, sir. Kiedy zebraliśmy się tu wszyscy razem, umawialiśmy się o kolejne interviewy, może jednakże zechce pan udzielić wywiadu wszystkim razem — zauważył Tarletan.

— Ależ, drodzy przyjaciele, jestem wam naprawdę zupełnie bezużyteczny. O czemże chcieliście mówić ze mną?

— Przedewszystkiem o pana przeprawie morskiej. Jakieś były zdaje się po drodze huragany?

— Istotnie. Natrafiliśmy na burzę w odległości dwuch dni od Gibraltaru. Ale załoga nie odniosła żadnego szwanku i zasłużyła sobie, wraz z kapitanem Martinem na czele naprawdę na odznaczenie.

— To bardzo interesujące — odrzekł Tarletan zapisując coś w notatniku — właśnie chciałbym pomówić jeszcze o pewnym szczególe podróży...

(D. c. n.)

ODBIÓR STACYJ NADAWCZYCH EUROPY DOSTĘPNY JUŻ DLA KAŻDEGO!

4-o LAMPOWY

TELEFUNKEN 40

Z lampą ekranowaną

ZBYTECZNA ANTENA ZEWNĘTRZNA

Automatyczne dostrajanie się do żądanej stacji.



Interesujące broszurki w składach radjowych gratis.

TELEFUNKEN

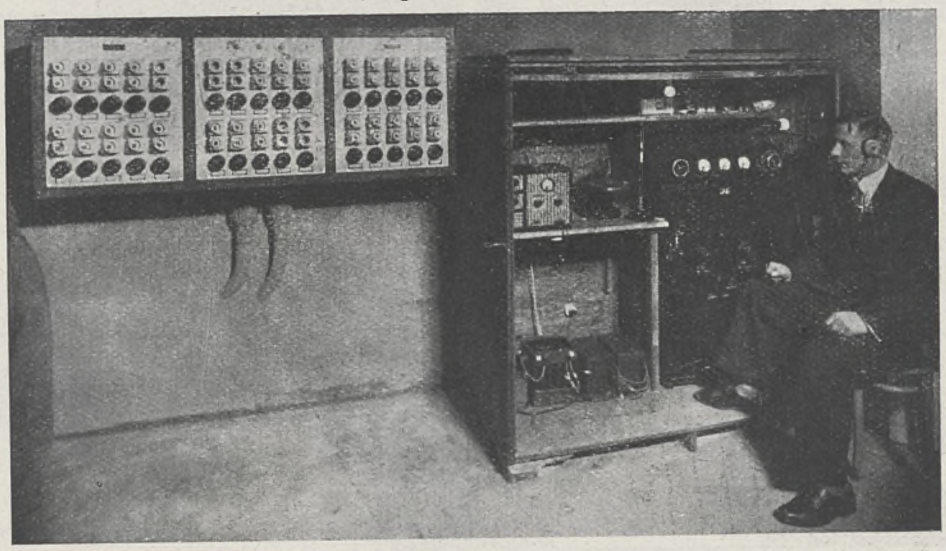
25-o LETNIE DOŚWIADCZENIE.

NAJNOWSZA KONSTRUKCJA.

INSTALACJE ROZGŁOŚNIKOWE PHILIPSA



Jedna z sal kawiarni Italja (w górnej wnęce widoczny jest głośnik Philipsa).



Aparatura instalacji rozgłośnikowej w kawiarni Italja.

MUZYKA gramofonowa do niedawna jeszcze uważana za rozrywkę raczej drugorzędną, obecnie dzięki niezwykłemu rozwojowi techniki fabrykacji płyt oraz dzięki zastosowaniu do rozgłaszania jej specjalnego urządzenia gramofonowo - głośnikowego osiągnęła formę ostatecznej doskonałości i popularność jej wzrasta z dnia na dzień. Na umieszczonych obok fotografjach widzimy przykład takiego urządzenia w znanej kawiarni warszawskiej „Italja". W kawiarni tej, która posiada kilka sal, ogromnie pożytecznym i ekonomicznym okazał się pomysł takiej instalacji, dzięki której dźwięki muzyki nagranej przez orkiestrę umieszczoną w jednej z sal, przedostają się za pośrednictwem głośników do sal pozostałych. Instalacja głośnikowa Philipsa ma niezmiernie ciekawe i obszerne zastosowanie w w różnego rodzaju imprezach doryw- czych jak np. w zawodach pływackich, regatach, meczach footballowych w wyścigach konnych, zabawach na wolnem powietrzu, w tych wszystkich wypadkach, kiedy głos jednego ma być słyszany przez dziesiątki tysięcy lub tysiące. Prócz tego instalacja wzmacniająca może mieć stałe zastosowanie w pensjonatach, hotelach, w uzdrowiskach, na dancingach i t. d. i t. d. Dźwięki mowy i muzyki oddane za pośrednictwem aparatury wzmacniającej, dochodzą do uszu słuchaczy w formie wyraźnej, nieskażonej i donośnej.



Sztuki, jakich dziś nikt nie dokona

W każdej gałęzi sportu dojść można przy zdolnościach i pracy do dobrych wyników, ale nato, aby ustanowić rekord świata, trzeba mieć wyjątkowe warunki fizyczne i specjalny „nerw" w jakimś kierunku. Trudniej jeszcze zdobyć się na nadzwyczajne wyczyny akrobatyczne i doprawdy, niewielu ludzi może poszczycić się, że nikt im nigdy w ich produkcjach nie dorówna. Niektóre ryzykowne i karkołomne sztuki pozostają na długi czas, albo na zawsze — nie do naśladowania, a często przechodzą do historji. I dziś, kiedy sensacja tak wielką rolę gra w codziennem życiu naszych, nerwowo przeczulonych społeczeństw, warto wydobyć z lamusa przeszłości fakty z tej dziedziny. Dowodzą one, że pociąg do nadzwyczajności i hazardowania się w grze o życie, jest tak stary, jak sama ludzkość, tylko dziś robi się wszystko dla pieniędzy, a dawniej prawie wyłącznie dla sportu, albo z musu, rzadko dla zysku.

Tak naprzykład w roku 1750 produkował się w Londynie pewien niedosięgły specjalista w sztuce zjeżdżania po linie. Umocowywał linę na szczycie wysokiej wieży kościelnej, a drugi koniec opuszczał ukośnie na rynek miejski i znowu ją mocno przytwierdzał. Potem, wspiąwszy się na szczyt wieży, kładł na linie wąską deskę z wyżłobionym wzdłuż i wyheblowanym rowkiem. Sam usadawiał się na niej, w pozycji leżącej, głową niżej i, schwyciwszy równowagę, zjeżdżał w szalonem tempie nadół, na materac, specjalnie przygotowany z poduszek. Mało tego: wyruszając w powietrzną drogę oddawał dwa wystrzały z pistoletów, trzymanych w rękach, a warto jeszcze zaznaczyć, że nie mając jednej nogi, a posługując się szczudłem, był przecież kaleką. Poprostu trudno uwierzyć, aby mu się to choć raz mogło udać, ale ze źródeł zupełnie wiarogodnych wiadomo, że sztukę swą powtarzał codzień trzykrotnie. Co się z nim wreszcie stało — nie wiemy.

Okrągło sto lat temu, występowała w Niemczech grupa kuglarzy. Wszyscy oni umieli tańczyć na linie parami modne gawoty; znane są nawet nazwiska najlepszego ich duetu (Breitrück i Enslen), który zbierał moc oklasków i talarów. Jeżeli zaś sięgniemy do starożytności, to już Ksenofont (442 rok przed nar. Chrystusa) w dziele swem „Uczta Kalliasa", umieszcza cały program varjété, w którym jakaś dziewczynka produkuje żonglerkę dwunastoma obręczami. Należy wątpić, czy ktokolwiek mógłby dziś popisywać się tą sztuką. Występujący w tej książce aktorzy dokonywują jeszcze czegoś, o czem nigdy już nie dało się słyszeć: piszą sami na obracającej się tablicy, odczytując jednocześnie to, co napisali inni, przyczem za każdym razem tablica obraca się w odwrotnym kierunku. A już niesamowite wprost widowiska urządzali rzymscy cezarowie. Neron rozkazał pewnego razu, aby jeden z rycerzy, którego chciał wyszydzić, przejechał na słoniu po grubej linie, rozpiętej nad areną cyrku pomiędzy jednym a drugim murem bocznym. O zupełnie już szalonej sztuce z końca II-go wieku po Chr. opowiada Filostrates. Mianowicie jednego z niewolników rozbujano na huśtawce, z której skakał w dół, jednocześnie zaś drugi rzucał w jego kierunku oszczep, naokoło którego pierwszy musiał w powietrzu wykonać salto mortale. Z dzieł bizantyńskich pisarzy dowiadujemy się także o sztukmistrzach, zwanych tajchometami, których specjalnością było wdrapywanie się na prostopadłe mury przy pomocy odpowiednio skonstruowanych żelaznych grabi - haków. Jednego z nich nawet, wtrąconego do więzienia, prosili pijani wartownicy, aby pokazał im swoją sztukę. Podali mu odpowiedni przyrząd, a sprytny tajchometa wdrapał się na mur więzienny i naturalnie wykorzystał sytuację: uciekł. W zeszłym stuleciu z podobną umiejętnością produkował się niejaki Sands, anglik, który spreparował sobie specjalne buty, dzięki którym spacerował po suficie jednego z „varjété" głową na dół — rozumie się, że i sufit był odpowiednio zmodyfikowany, aby haki u butów miały się o co zaczepić. Pewnego razu jednak stąpnął niedość pewnie i spadłszy nadół, zabił się.

Tęgim mężczyzną musiał być jeden z rządców rzymskich w Małej Azji, Firnus (silny). Pozwalał on kłaść sobie na piersiach ciężkie kowadło, w które silni kowale mogli dowoli bić młotami. Sztukę tę do pewnego stopnia powtarzał nieżyjący już „król żelaza", Breitbart, ale nie potrafił tego, co wyżej wspomniany Firnus.

(Dokończenie nastąpi).

NIESAMOWITY BIEG POSTĘPU

(Dokończenie ze str. 4-ej.)

nałości techniczne, z drugiej strony zaś niedostateczne nastawienie sfer artystyczno - literackich do odpowiedniego ujmowania tematów.

Że zdołamy wszelako przezwyciężyć te trudności — wierzę głęboko, i muszę w to wierzyć, chociażby dlatego, że jestem technikiem.

Mechanizacja muzyki musi nastąpić.

Zagadnienie to — ciągnie dalej p. Heller — ściśle jest związane z inną zdobyczą techniczną, telewizją. I tu również — istotę jej zbadaliśmy dokładnie, nie bliscy jesteśmy jednak od jej realizacji praktycznej. Zapomocą telewizji, — widzenia na odległość — przesyłać możemy bądź obrazy faktyczne(równoczesność akcji z odbiorem wrażenia), bądź też obrazy ruchome — filmy. Aparatura odbiorcza, będąca obecnie w stadjum udoskonalenia, nie jest skomplikowana, a zatem i niedroga. Niemcy zwłaszcza i Anglicy poświęcili się opracowaniu dalszych udoskonaleń w tej dziedzinie. Obrazy już odbieramy. Na czem polega jednak trudność? Oto nie udało się dotychchzas osiągnąć innych obrazów, jak tylko bardzo nieskomplikowanych, gdyż, operując jednym punktem świetlnym, którym w niezmiernie krótkich odstępach czasu musimy zarysować obraz, otrzymujemy zbyt mało szczegółów.

Oto wszystko co narazie mogę powiedzieć.

Dodam na zakończenie, że choć wiele z tych rzeczy, które, jak u Wellsa, uważaliśmy za fantazję sprawdza się powoli, to jednak uważam, że podobne dociekania mogą doprowadzić do granic, gdzie rozum się kończy. A wówczas możemy tylko oprzeć się na wierze...

Er.

MAURYCY DEKOBRA.

SZKOŁA WAMPIRÓW

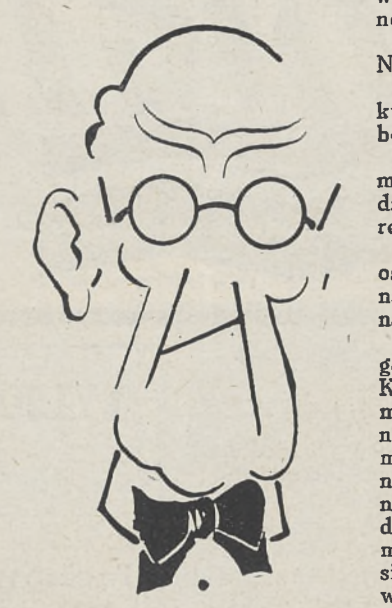
Telefon...

— Hallo! — słyszę miły głosik. — Czyby pan nie zechciał pojechać ze mną na lekcję dra Weeda o Wampiryźmie? Mówiłam mu o panu i wyjątkowo zgodził się, aby pan mógł posłuchać jednego wykładu...

Czy można było odmówić, zwłaszcza słodkiej Ruth?

W pół godziny później jechaliśmy razem jej 8-o cylindrowym smokiem na Riverside Drive, gdzie w olbrzymiem studjo dra Weeda rodzą się **Vampy.**

Vamp — w żargonie amerykańskim jest to typ owej kobiety fatalnej, pożerającej serca mężczyzn, typ okrutnej zalotnicy, odbywającej tryumfalny pochód po ścieży życia, usłanej wypróżnionemi portfelami, zmiętemi czekami, żałosnemi szczątkami wypompowanych amantów i młodzieniaszków, co własnemi rękami śmierć sobie zadali z rozpaczy.



— Dr Weed — objaśnia mi po drodze moja towarzyszka — jest niezwykłym człowiekiem. Osobliwością, którą należy poznać w New Yorku. Nie jest wprawdzie profesorem uniwersytetu, a kursy jego nie zyskały aprobaty prezydenta miasta. Nie brak mu jednak adeptek z pośród kobiet, które przekonały się, iż kluczem do szczęścia na tym ziemskim padole jest wzgardzenie rodzajem męskim. Przeświadczenie to jest początkiem rozsądku. Usłyszy pan dzisiaj czwartą lekcję profesora na temat miłosnej strategji Skrzętnie notuję jego wykłady — ot, ma pan, w tym kajecie.

Przeglądam bruljon, w którym uderza mnie kilka sentencyj:

„Serce kobiety jest częścią najbardziej czułą jej anatomji. Kobieta, której serce nie jest ochronione pancerzem, to jak samochód bez zderzaków w natłoku wozów, kierowanych przez warjatów".

„Kobieta, która wyrzeknie „tak", wkrótce przekona się, iż utraciła wszelkie walory osobiste".

„Kobieta, która stale mówi „nie", gra na termin, lecz wygrana jej nie jest pewna".

„Kobieta, która mówi „może" gra na pewną „haussę" — zawrotną.

Ruth bada mnie ukradkiem.

— No, co? Czy nie jest to ciekawe?.. Ale już przyjechaliśmy na miejsce... Chodźmy prędko bo wykład rozpoczyna się punktualnie o jedenastej.



Wpadamy do windy. Stary służący — murzyn, wprowadza nas do studjo, w którem zastajemy kilka pań,. wyczekujących z niecierpliwością ukazania się mistrza. Po chwili wchodzi dr. Weed. Przypatruję mu się z zaciekawieniem. Jest wysoki, wygląda na 50 lat, oblicze ma ascety, olbrzymie czarne oczy żarzą się poprzez szkła okularów. Cała jego postać, strój i dostojna powaga pasują raczej do specjalności matematycznej, niźli do wykładania o sztuce pożerania biednych mężczyzn. Mówił ciekawie i żałuję niezmiernie, że ze sto tysięcy przyszłych ofiar Kobiety (przez duże K) nie mogło się przysłuchać jego retoryce. Co do mnie — całe życie chyba pamiętać będę o tym wykładzie, którego podam poniżej kilka fragmentów:

„Mówiłem paniom — i nie przestanę tego powtarzać — obaśniał dr. Weed, — że podstawą poznania, prawdą, która wiecznie — czy to w dzień, czy w nocy — winna wam przyświecać, jest niezmierzona głupota mężczyzn, a filarami jej — to zarozumiałość i pycha... Powiecie mi może, iż są przecież mężczyźni niezwykle mądrzy, nadludzie, których mózg jest arcydziełem natury. To prawda... Lecz i ci dadzą się pokonać, o ile godzić w nich będziemy poza ramami ich wiedzy, ich talentu lub innych cech, stanowiących o ich niezwykłości.

„Jeszcze raz powtarzam: zarozumiałość i pycha.

„I każda z was, która zapamięta tę prawdę i będzie umiała zagrać na tych dwóch czułych strunach, może być pewną zwycięstwa w odwiecznej walce, jaka się rozgrywa pomiędzy rodzajami. Zagrać... Lecz oczywiście, iż gra ta wymaga umiejętności, dobrze zcieniowanej subtelności — gdyż to właśnie jest atutem uzdolnionego **Vampa.** A rzeczą jest waszą nabyć wprawy i doświadczenia psychologicznego.

„Jak się do tego przygotować? Należy przedewszystkiem:

1) uzbroić serce w hamulec, któryby was zatrzymał przed niebezpiecznym porywem;

2) zgóry zapatrywać się na mężczyznę, choćby nawet najbardziej uroczego, jak na wroga, którego trzeba pokonać.

„Pierwszy z tych wyników osiągnąć można drogą pewnej gimnastyki uczuć, opierającej się na następującem twierdzeniu:

„Niema człowieka, bez którego nie możnaby było się obejść. Każda z kobiet, która zasypiając myśli: on albo żaden — jest nienormalna, nieomal warjatką. Niema takiego mężczyzny. Śmiesznem jest twierdzić, iż jeden, jedyny mężczyzna na 500 miljonów ludzi cywilizowanych — wszystkich mniej lub więcej podobnych do siebie — może tylko zapewnić wam szczęście. Cobyście, panie, powiedziały na widok kobiety pogrążonej w rozpaczy z powodu, iż herbatę jej osłodzono tym, a nie innym kawałkiem cukru?"

Przysłuchiwałem się uważnie bezwzględnie logicznemu wykładowi doktora i przyznam się, że nie bez pewnego uczucia obawy. Miał rację, czy nie? Obojętne. W każdym razie mogłem zauważyć, że słuchaczki jego pochłaniały wprost słowa wykładu.

Lekcja skończyła się o dwunastej. Pozostaliśmy sami we troje — Ruth, doktór i ja. Mogłem wreszcie porozmawiać swobodnie. Weed spoglądał na mnie z poza okularów, uśmiechając się lodowato.

— No cóż, zblazowany Europejczyku... Co pan myśli o mojej doktrynie?

— Bardzo ciekawe, mistrzu... Musi pan chyba wypuszczać co miesiąc kilka nadzwyczajnych **Vampów?...**

— Myślę, istotnie, że uzbroiłem do walki kilka silnych charakterów.

— A czy mogę pana zapytać czy apostolstwo pańskie jest wynikiem jakiegoś postanowienia? Czy też jest to może z pańskiej strony zemstą za doznane zawody?

— Jeśli od sześciu miesięcy poświęciłem się temu zadaniu, to żeby się przekonać, czy nie zechce któraś z mych słuchaczek na mnie samym wypróbować skuteczności mojej metody...

MISTERJUM NOCY — SEN

(Dokończenie ze str. 5-ej.)

Odgrywa tu rolę tak zwana telepatja, a więc odczuwanie myśli, przeniesionych na pewną odległość. Czasem znów bywa zwykły zbieg okoliczności. Nieraz wreszcie możemy odczuć pierwsze zwiastuny zbliżającej się choroby własnej A wszystko dzięki podświadomości. W każdym bądź razie dalecy jesteśmy od wszelkiego rodzaju „cudów".

Znakomity psychjatra, Korsakow, opowiada np. następujący wypadek: pewien znany chemik powrócił późno z pracowni do domu i szybko zasnął; nagle śni mu się, że w pracowni powstał pożar; pod wpływem silnego wzruszenia budzi się i przypomina sobie, że zostawił w laboratorjum niezgaszoną świecę; biegnie do pracowni; świeca dopala się, a ogień ogarnął już papier w pobliżu firanki. Oczywiście pamięć palącej się świecy, która pozostała w podświadomości, wypłynęła podczas snu; fantazja dorobiła pożar. W ten sposób powstał jeden ze snów proroczych.

Cóż daje nam sen? Odpoczynek? Mało. Sen daje złudzenia. Mózg każdego człowieka, przeładowany myślami, przeżyciami i wrażeniami, znajduje upust w marzeniach sennych. Akumulator zoduje upust w marzeniach sennych.

Dla życia sen jest koniecznością; dla medycyny — odpoczynkiem; dla biologji — jednym z przejawów potężnego rytmu wszechświata; dla psychologji — sztuką.

Dodam jako psychjatra: bez sennych marzeń życie miałoby o wiele mniejszą wartość.

Wkraczajmy więc bez obaw w krainę złudzeń...

REKORD WYNALAZCZOŚCI

(Dokończenie ze str. 2-ej.)

Postawiwszy przed redaktorem niezrozumiałą maszynkę pokręcić korbą i nagle z przyrządu odezwały się słowa: Dzieńdobry! Co pan myśli o fonografie? Nie posiadamy w mowie ludziej określenia na uczucie zdumienia i przerażenia redaktora. W chwil parę wieść rozeszła się błyskawicą i w redakcji zapanował niesłychany tumult reporterów wszystkich dzienników nowojorskich.

W czasie ferji w r. 1878 Edison zetknął się z profesorem fizyki Barherem, który rzucił od niechcenia myśl: jakby to dobrze było, światło lampy łukowej rozszczepić na mniejsze światełka.

W tych czasach znane były tylko lampy łukowe, nadające się dobrze do oświetlania placów lecz nie możliwe przez nadmiar światła dla celów domowych. Edison z całym zapałem i ogromnym kapitałem 300.000 dol. rozpoczął doświadczenia. Cel był odrazu dobrze ustalony. Trzeba stworzyć w zamkniętej szklanej bańce światło, od rozżarzonego druciku. Lecz wszystkie materjały począwszy od platyny do włókien roślinnych spalały się w bardzo krótkim czasie. Wreszcie udało się Edisonowi wykonać lampę z paska zwęglonego papieru. Ta świeciła 40 godzin!

Pewnego dnia wpadła mu do ręki wiązanka włókien bambusowych, którą był owinięty jakiś pakiet. Natychmiast przeprowadzono doświadczenie i to naprawdę dało dobry rezultat.

Lecz z czego pochodziło to włókno, z jakiej palmy czy bambusu? Edison zarządził natychmiast polowanie na włókna bambusowe. Wysłał dziesiątki agentów na cały świat . kazał przysyłać sobie wszystkie włókna bambusów, robiąc z nimi natychmiast doświadczenia. Wreszcie znaleziono włókna najodpowiedniejsze, pochodzące z Japonji. Pewnego dnia dzienniki amerykańskie obwieściły światu, że w laboratorjum Edisona świecą lampy na drutach.

Od tej chwili zaczęło się już wielkie powodzenie Edisona. Elektryfikacja i oświetlenie Ameryki dały mu fortunę, ale też pochłaniały mnóstwo jego czasu. Nie przeszkadzało, że dokonał jeszcze wiele wynalazków, otworzył własne kopalnie żelaza, założył cementownie z maszynami własnego pomysłu pracował nad ulepszeniem kinematografu i filmu mówiącego i t. d.

Amerykanie obliczyli, że mózg Edisona wart dla nich 15.599.000.000 dol., tyle bowiem wynosi wartość zakładów przemysłowych opierających swą egzystencję na jego patentach.

E. P.



Anegdota z życia Edisona

Chauncey M. Depew, podaje w biografji Edisona cały szereg anegdot, z życia „czarodzieja" z Menlo Parku, z których przytaczamy tutaj najmniej znaną.

Podczas wystawy w Chicago, w roku 1893, Edison, spacerując pomiędzy kioskami, zauważył olbrzymi szyld, ogłaszający nowy wynalazek pasów elektrycznych, które przyłożone w odpowiedniem miejscu, usuwają w krótkim przeciągu czasu wszystkie cierpienia. Zaintrygowany nowem zastosowaniem elektryczności dla celów medycznych, Edison, wszedł do środka kiosku. Wytwornie ubrana, wypudrowana niczem lalka i szeleszcząca jedwabiem sukni panienka, zapytała się grzecznie wielkiego wynalazcę, czem mu może służyć.

— Chciałbym się przekonać, w jaki sposób elektryczne pasy usuwają wszystkie dolegliwości?

— Proszę uprzejmie. W tej chwili panu to wyjaśnię — odrzekła panienka, prezentując jeden z cudacznych pasów. — Oto widzi pan, prąd elektryczny, płynie z miedzi do cynkowej płytki i następnie...

— Chwileczkę, proszę pani. Zdaje mi się, że nie dosłyszałem. Pani raczyła powiedzieć, że prąd płynie od miedzi do cynku?

— Oczywiście. A następnie...

— Jeszcze chwilę. — przerwał jej Edison. — Pozwoli Pani, że się nad tem zastanowię. Pani mówi, że prąd płynie z miedzi do cynku?

— Ależ tak, mój panie. Płynie z miedzi do cynku.

— A ja ciągle myślałem, że płynie z cynku do miedzi!

— Nie, pan się myli.

— Jest Pani tego zupełnie pewna — spytał się z uśmiechem Edison?

— Cóż to, panu się zdaje, że się Pan lepiej zna odemnie na elektryczności. Patrzcie go, mądrala — zawołała oburzona panienka, rzucając, przed przerażonym tym wybuchem Edisonem, pas na ziemię.

— Hm!... Bardzo możliwe — mruknął pokonany Edison i wyniósł się czemprędzej z kiosku.

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Encyklopedja filmowa

R.

„RADJO".

Tylko napozór jest głośnik radjowy aparatem niewinnym i pożytecznym. W filmie służy do wykrycia najtajniejszych zdrad. Oto mąż, zadowolony i szczęśliwy, pewny, że jego żona pożytecznie i wiernie spędza czas u chorej teściowej, — włącza głośnik radjowy. Wygodnie zasiada w fotelu i słucha.

Lecz dzięki zrządzeniom sprawiedliwej Opatrzności muzyka, której słucha właśnie nadawana jest z sali dancingowej.

A na dancingu, w cieniu palm, blasku reflektorów, znajduje się naturalnie wiarołomna żona. Los chce, że niebacznie stanęła przed mikrofonem i podczas przerwy spowodowanej kolacją orkiestry, głośno wyznaje kochankowi swoją miłość.

Mąż rozpoznaje głos żony natychmiast. Dla pewności nakłada jeszcze słuchawki na uszy i słucha w tragicznem upojeniu. W filmie niemym, żona ograniczyłaby się wyznaniem tylko swej miłości dla innego, w filmie dźwiękowym nie szczędzi ani jednego szczegółu swej zdrady. Opowiada o wszystkiem.

I wreszcie do uszu nieszczęsnego męża dochodzi odgłos pocałunku, a potem gdy orkiestra rozpoczyna grać na nowo, słyszy wyraźnie szelest sukni swej żony, tańczącej z zapamiętaniem.

Jest to cios, którego nawet silny organizm męża wytrzymać nie jest w stanie. Wyciąga z szuflady rewolwer i mocnym wystrzałem każe głośnikowi umilknąć.

Potem nadsłuchuje odgłosu kroków na schodach i oczekuje z tymże rewolwerem nadejścia swej żony.

Dalsze jego czyny jednak nie mają już nic wspólnego z „radjem", a należą do „zdrady".



(fot. Peteł, Warsz. K. S. A. Universal.)



„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 72-85 i 525-85. Konto P.K.O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1 200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12.